# PRZEGLĄD KRYTYCZNY.

Nr. 9. **30 Września.** 1876.

## Filozofia.

**Dr. A. Z. Molicki: Wykład systematyczny Tagmonlogii,** dotychczas tak zwanéj „filozofii.“ Część przygotowawcza. Wstęp do Tagmonlogii. Kraków. 1875. str. I—IV. 1—308.

119] Nikt zapewne twierdzić nie zechce, iżby dzisiejsza nazwa filozofii wyrażała dokładnie zadanie, jakiém się ta nauka ma zajmować. Wszelako filozofia nie znajduje się bynajmniéj w wyjątkowém pod tym względem położeniu. Inne może niemniej zasadnicze umiejętności, jak matematyka, astronomia, fizyka, fizyologia, anatomia, chemia, gramatyka i t. p. mają także nazwiska, które przyjęte w minionéj przeszłości, w skutku chwilowych zapatrywań na ich cele, obecnie już nie odpowiadają ani ich treści, ani stanowisku. Co jednak nie było powodem do podejmowania usiłowań w celu sprowadzenia zmiany w terminologii; te nauki miały i mają nierównie poważniejsze zadania przed sobą: poświęcone zabawie filologicznéj, łatwo mogłyby się minąć z właściwém swojém przeznaczeniem. Wszakże, tą drogą w całości postępował rozwój mowy ludzkiéj w ogóle. Pod wpływem chwilowego częstokroć natchnienia dawano rzeczom nazwiska, które wyrażały nieraz poszczególne albo nawet tylko przypadkowe ich własności. Z uwagi, że one miały służyć tylko za znaki myśli zwykle pełniejszych, nie zaprowadzano innych wyrazów, gdy pojęcia o przedmiotach doznawały rozszerzenia, przekształcenia, lub sprostowania. Tylko tu i owdzie wzbogacano język nowemi słowy, w miarę jak się okazywała tego potrzeba lub wymagała dogodność.

Co do filozofii, p. Molicki stanowczo utrzymuje, że inne, odpowiedniejsze od dotychczasowego przybrać winna miano. Sądzi, że należałoby ją nazwać t a g m o n l o g i ą.

Nie będziemy się o to spierali, o ile przytoczone przez niego (str. 3) opowiadanie o początku nazwy filozofii uważać można za historycznie sprawdzone. Zbyt mało, w obec poruszonéj sprawy, na tém zależy. Nie zawadzi jednak wspomnieć, że szczegóły wypadku, tyczące się Pitagorasa, w odmienny nieco sposób podane są na podstawie świadectw Heraklidesa i Sozykrata przez znane źródło naszych wiadomości o starożytnych filo-

zofach, przez Dyogenesa z Laerty (Pr. 12 i VIII, l. 8). Wbrew mniemaniu, jakoby miano filozofii, tylko zamiłowanie mądrości, a zatém wyłącznie podmiotowe miało oznaczać usposobienie zwolenników téj nauki, nie bez pewnego znaczenia może być wskazówka Jamblicha (περὶ τοῦ Πυθαγορικοῦ βίου 58) o przedmiotowych względach, które miały kierować Pitagorasem, gdy je utworzył.

Pan Molicki radzi filozofię nazywać odtąd „tagmonlogią“ dla tego, że zdaniem jego winna się zajmować jedynie badaniem i wykazywaniem „porządku rzeczy“ τοῦ τάγματος τῶν ὄντων w świecie. Czyli ta zmiana przyniosłaby nauce jaką istotną korzyść, słusznie wątpić należy. Nadto sam wyraz zaprojektowany dać może, tak pod względem treści, jak pod względem formy powód do ważnych i uzasadnionych zarzutów. Zawiéra bowiem myśl, jakoby zmierzającą do zamknięcia badań filozoficznych w pewnym zakresie zagadnień i wypowiadającą wojnę wszelkim dążeniom, coby chciały sięgnąć po za te granice. Takie ograniczenie nie zgadza się jednak ani z duchem filozofii, ani z jéj historyą; każdą jéj nazwę, na tém tle utworzoną, uważać należy za niewłaściwą i nieudałą. Przytém, budowa wyrazu „tagmonlogia“ sprzeciwia się zasadom lingwistyki; tworząc go, wypadało użyć albo pierwiastków ταγ- ἐσ-, albo wyprowadzonych z nich prawidłowo źródłosłowów ταγματ- (lub ταξι-) ὀντ-; w żadnym zaś razie przykrojonych dowolnie i nieumiejętnie szczątków źródłosłowych ταγμ- i ὀν-, nie mających w téj formie w słoworodzie greckim zastosowania.

Na razie mamy przed sobą tylko część przygotowawczą dzieła, czyli „propedeutykę tagmonlogii“. Wyraz „propedeutyka“ w dwojakiém używa się znaczeniu, raz w pedagogicznćm, o ile początkujące w nauce umysły stosownie ma usposobić do samodzielnéj późniejszéj pracy około zagadnień pewnéj umiejętności, a znowu w ściśle umiejętném, jako rozbiór głównych zagadnień, mających w danéj nauce znaleźć rozwiązanie, albo jako wykład jéj prawd zasadniczych, których wszystkie inne twierdzenia są jakoby tylko rozwinięciem, zastosowaniem, dopełnieniem. Niestety, autor „Tagmonlogii“ nie czyni pomiędzy jednym a drugim rodzajem propedeutyki dokładnéj różnicy. Przytaczając rozmaite dzieła propedeutyki filozoficznéj, zdaje się mieć pierwszy jéj rodzaj na oku; mówi wielokrotnie o propedeutyce, będącéj przedmiotem instrukcyi gimnazyalnéj: tym sposobem przechodzi na stanowisko ściśle pedagogiczne, często niezależne od poglądów nauki specyalnéj. Obok tego jednak bada także stosunek, w jakim propedeutyka zostawać może do systematu filozofii, poddając przytém krytyce w szczególności zapatrywania Struvego: co wszystko w pierwszym przynajmniéj rzędzie nie wpływa na układ kwestyi pedagogicznych. Dziwne to pomieszanie stanowisk wtenczas

jedynie dałoby się wytłómaczyć, gdybyśmy myśleli o propedeutyce, któraby równie jednemu jak drugiemu dostatecznie odpowiadała zadaniu. Czego jednak o ogłoszonéj przez pana Molickiego pracy nie można twierdzić. A w szczególności pedagogia nie mogłaby uznać wykładu treści téj książki za stosowny przedmiot nauki w gimnazyach.

Co do filozoficznych zapatrywań, zdaje się na pierwszy rzut oka zachodzić niejaka pokrewność pomiędzy tagmonlogią a filozofią pozytywną Comte'a. Ten myśliciel, przekonawszy się, jak mniemał, że wiekowe usiłowania filozofów, skierowane do wyśledzenia pierwotnych przyczyn wszech rzeczy nie doprowadziły do dodatniéj o nich wiedzy, sądzi, iż należy je stanowczo porzucić, i nie kusić się o rozwiązanie zadań, prześcigających widocznie zdolność naszego umysłu, a ograniczyć się za to do badania stałych stosunków, jakie pomiędzy rzeczami zachodzą (A. Comte: *Cours de philosophie positive leç. 1.)* Niemniéj „tagmonlogia“ pragnie uchylić wszelkie dowodzenia o istnieniu Boga, duszy i t. p., w ogóle jestestw uważanych za początki bytu, a zająć się rozpoznawaniem samego „porządku rzeczy“. Tutaj jednak kończy się wspólność obu kierunków, a następuje rozdwojenie zasadnicze, z nierównym o tyle skutkiem, że po stronie pozytywizmu widzimy zawsze jasność, ścisłość i względną przynajmniéj konsekwencyę, po stronie zaś tagmonlogii wzmaga się coraz więcéj brak dosadności i mglistość wyobrażeń, a razi tu i owdzie mylne pojmowanie faktów.

Autor „tagmonlogii“ przyznaje, iż pozytywizm wszedł istotnie na drogę prawdziwego postępu, o ile się pozbył celów dawniejszéj filozofii: nagania mu jednak, że usunął wszelkie badania o Istocie najwyższéj, upatruje w nim negacyę duchowości i nazywa go odnowieniem dawnego materyalizmu. Dążeniem i celem całéj filozofii ma być nadal jak przedtém poznanie istoty i zadania trzech przedmiotów: natury, człowieka i Boga, tylko dowodzenia istnienia najwyższych początków, a w szczególności Boga i duszy mają być zaniechane, bądź jako zbyteczne, bądź jako szkodliwe. Każdego musi, zdaniem naszém, uderzyć sprzeczność w powyższych założeniach zawarta. Z jednéj strony, poczytuje się to za zasługę pozytywizmowi, że się pozbył badań o pierwszych początkach bytu, i ma w tym duchu daléj postępować filozofia: z drugiéj widzimy żądanie, aby się ta umiejętność przecie zajmowała rozbiorem tych początków. Zrzekając się dowodzenia ich bytu, zrzeka się właściwie krytyki wyobrażeń o nich, zkądkolwiek pochodzących, a tém samém pozbywa się najważniejszéj cechy wszelkiéj wyrozumowanéj umiejętności. Nareszcie, przypuszczać bez dowodu istnienie pomienionych początków bytu, znaczy tyle, co podsuwać dowolnie pewne rozwiązanie zasadniczych zagadnień, którego dopiero szukać ma zadanie poważna nauka. Jest w tém najcie-

kawsze *hysteron proteron,* jakiego kiedykolwiek dopuścić się mogła filozofia. Szczegółowe wywody dzieła nie zdołały ani usunąć, ani złagodzić przytoczonych tutaj sprzeczności.

Aby objaśnić i uzasadnić swoje stanowisko, uznał autor za stosowne porównać je z „dotychczasowym rozwojem myśli umiejętnéj“ (str. 41) w różnych szkołach i systematach filozofii. Żałować wypada, że zamiar ten nie został wykonany w sposób dość umiejętny i odpowiedni. Możnaby nieraz mniemać, że zawarta w podanych historycznych poglądach znajomość obcych zdań filozoficznych nie pochodzi z pierwszéj ręki, ani téż oparta nie jest na głębszém ich zbadaniu. Owszem osnuta na podstawie dorywczo zebranych, luźnych, a czasem dla całości wziętego pod rozbiór systematu dość obojętnych szczegółów, bez odwoływania się do źródeł i rezultatów jéj krytyki, praca ta często dowolnie ustawia lub tłómaczy fakta z historyi filozofii w duchu przyjętego z góry założenia. Nie brak téż niejasności i niekonsekwencyi w twierdzeniach, obok powtarzanych aż do znużenia, chociaż nigdzie nieuzasadnionych dostatecznie, wywodów o wyłącznéj trafności zajętego przez tagmonlogię stanowiska.

Pan Molicki utrzymuje (str. 102), jakoby badania greckiéj filozofii z czasów przedsokratesowych miały na celu jedynie umiejętne wytłómaczenie tych pojęć, które przechowała tradycya religijna, dalekie od budowania skrajnych, im przeciwnych, hipotez. Miało ich zajmować wyłącznie badanie „porządku rzeczy“, jakiego się domaga tagmonlogia, a najwyżéj pod tym względem stanęła, jak się dowiadujemy, szkoła Pitagorasa. Od pojawienia się sofistów w Grecyi nibyto zawieszono kwestye „porządku“, a spory filozoficzne poczęły się obracać, jak twierdzi p. Molicki, około sprawy dowodzenia lub zaprzeczania istnienia Boga, duszy i t. p., zkąd powstał podwójny kierunek w filozofii, afirmacyjny i negacyjny. W czasach scholastyki przycichły lub w głąb ustąpiły usiłowania tego rodzaju pod wpływem religii chrześciańskiéj, a odnowiły się za czasów Kartezyusza, gdy filozofia, rozniecając spory o tak zwane zasady poznania i kwestye istnienia, na wcale niewłaściwą wstąpiła drogę. Jedynie Franciszek Bakon, przeciwny dowodzeniom istnienia ostatecznéj przyczyny rzeczy, przyswoił sobie kierunek Pitagorasa (str. 115) i przygotował tym sposobem odrodzenie umiejętności, którego na polu filozoficzném snać pragnie dokonać tagmonlogia.

Niepodobna nam prostować wszystkich szczegółów, w streszczonym tutaj poglądzie objętych. Wolno jednak zapytać, jak z ową mniemaną jednością, jaka panować miała pomiędzy tradycyami religijnemi a teoryami filozofów z czasów przedsokratesowych, da się pogodzić wspomniana nawet przez pana Molickiego (str. 103) szorstka postawa przewodnika szkoły Eleatów Xenofanesa w obec antropomorfizmu religii ludowéj. Nie-

mniéj wiadomy jest przedział, jaki od początku istniał i stopniowo wzrastał pomiędzy religijnemi wyobrażeniami Greków a nauką atomistów. Wszak p. Molicki sam przyznaje, że w ich szkole wylęgła się, głównie za sprawą Dyagorasa, sofistyka a nawet ateizm. O bezbożność posądzono także Anaxagorasa, który nauczał, że słońce jest ognistą masą, a siła umysłowa (νοῦς) początkiem ruchu we wszechświecie. Swoje mniemanie o nauce Pitagorasa opiera pan Molicki przedewszystkiém na przekazanéj nam wiadomości, że szkoła Pitagorejczyków w systemacie liczb i opartéj na nim harmonii szukała klucza do tłómaczenia istoty świata. Zdanie, jakoby przez liczbę pitagorejską należało rozumieć prawidłowość rzeczy, odrębną od istotliwego bytu, może tak dla badacza, jakotéż dla nieświadomego wiele miéć ponęty; jednak najważniejsze w tym względzie ustępy z metafizyki Arystotelesa (Met. I, 5, 6, 7 i XIV, 3) przemawiają za tém, że Pitagorejczycy śledząc podobnie jak inni współcześni filozofowie początków czyli pierwiastków (ἀρχαί) wszechbytu, upatrywali je w zasadach liczby i przypisywali im nawet rzetelną istotliwość. Co do metody badania, trudno pomiędzy Pitagorasem a Bakonem dostrzedz jakiegokolwiek podobieństwa. U greckiego mędrca nie ma mowy o obserwacyi i indukcyi; jego teorya zdaje się raczéj postępować sposobem systematów dedukcyjnych, bo przyjąwszy ogólną zasadę liczb za podstawę, stara się okazać, że na niéj spoczywa budowa świata. Bakon nie uważał się bynajmniéj za spadkobiercę myśli Pitagorasa, zarzucał mu owszem grubą i ciężką zabobonność *(cum superstitione magis crassa et onerosa. Nov. Org.* I, 65), a tém samém przodownictwo w zakresie filozofii błędnéj. Gdyby Bakon był bezwarunkowo sprzeciwiał się wszelkim dowodzeniom istnienia ostatecznéj przyczyny rzeczy, nie byłby przyrodzonéj teologii poczytał *(De augm. scientiarum III, 2)* za nieodzowną część filozofii, potrzebną do odparcia ateizmu. Mylnie aut. „Tagmonlogii" na str. 115 w przypisku powołuje się na „*Novum Organon I,* 34, 81, jakoby dla stwierdzenia swojego pojmowania myśli Bakona. Miał zapewne na oku *Nov. Org.* I, 66, lecz i tam nie ma mowy o „p o c z ą t k u" wszech rzeczy i ostatecznych p r z y c z y n a c h, ale jedynie o ich pierwiastkach *(de principiis rerum)* i ostatecznych składowych częściach *(de ultimitatibus naturae),* jakiemi są rzekome niedziałki (atomi). Gdyby „p r z y c z y n y o s t a t e c z n e" miały odpowiadać łacińskiemu „*causae finales*", to o nich mówi wprawdzie *Nov. Org. II, 2.*, wszelako w znaczeniu ostatecznych „celów", które wyróżniać należy od ostatecznych „przyczyn", jako właściwych początków natury. Chociaż Bakon utrzymuje, że dopiéro scholastycy filozofią Arystotelesa sprowadzili na pole teologiczne *(effecerunt, ut pugnax et spinosa Aristotelis philosophia corpori religionis, plus quam par erat, immisceretur. Nov. Org. I, 89)*, przecie, wbrew uznanéj jego powadze

w rzeczach filozofii, p. Molicki przeciwnie twierdzi, że filozofia scholastyczna przyjęła dopiéro od Aristotelesa i Platona kwestye o istnieniu Boga, będąc sama przez się obcą sporom tego rodzaju. Zdaniem naszém, historya przyzna słuszność zapatrywaniu Bakona, zwłaszcza, gdy sobie przypomni, że twórcami najsławniejszych dowodów o istnieniu Boga byli scholastycy, jak Anzelm Kantuaryjski i św. Tomasz z Akwinu, w których ślady wstąpili nowsi filozofowie, jak Kartezyusz, Lejbnic i inni.

Dotychczasowy podział kierunków badań filozoficznych na materyalizm, idealizm, mistycyzm i kierunek idealno-realny polegać ma, jak utrzymuje autor „Tagmonlogii“ (str. 86 i t. d.) na różnicy zasad, na których, jako na próbierzach (kryteryach), prawdy w każdym z nich opiera się pewność wiedzy czyli poznania. Bywają za nie uważane bądź zmysłowość, bądź rozum, bądź uczucie i wiara, bądź nareszcie połączenie rozumu ze zmysłowością. Upatrywać w nich co innego prócz środków albo narzędzi poznawania nie ma słusznéj podstawy (str. 95), podniesione niewłaściwie do znaczenia zasad, i badane w tym duchu, sprowadzają filozofię na mylne tory, ontagmatyczne, t. j. na tory, mające dowodzenie istnienia na celu (str. 143 i t. d.) Tagmonlogia, mając wzór matematyki przed sobą, nie może i nie chce dowodzić istnienia w ogóle, a istnienia duszy i Boga w szczególności, bo matematyka istnienia nie dowodzi (str. 154). Jedynym jéj przedmiotem ma być sprawdzenie porządku we wszechświecie, a probierzem prawdy szereg zasad, utworzonych „za pomocą indukcyi czyli obserwacyi i doświadczenia“, „na gruncie czysto matematycznym“ (str. 183). Badanie, na tych podstawach osnute, przezwane jest tagmatoniczném (str. 155).

Przytoczone tutaj określenia dotychczasowych kierunków filozofii są niezaprzeczenie zbyt jednostronne, aby się na nie, zwłaszcza w obec faktów historyi wcale odmiennych, tak łatwo zgodzić można. Równie niefortunném nazwać wypada bezwzględne pomięszanie realizmu z materyalizmem, racyonalizmu z idealizmem, spirytualizmu z mistycyzmem i t. d., jakiego się autor „Tagmonlogii“ przy téj sposobności dopuścił. Rozbiór źródeł naszéj wiedzy czyli poznawania, jakotéż sprawdzenie rzetelności wyników, jakie otrzymujemy z ich czynności, nie może być ani tak zgubném, ani tak obojętném dla filozofii dziełem, jakby to w skutku wywodów „Tagmonlogii“ należało wnosić. Co się tyczy stosunku matematyki do innych umiejętności, to już aż nadto często uznawano jéj przewagę nad niemi pod względem ścisłości tak określeń, jakotéż wypadków dowodzenia, aby była potrzeba osobną o niéj czynić wzmiankę. Słynny Kartezyusz (Ob. *Dissertatio de methodo 1650)*, przekonawszy się o niedostateczności scholastycznéj logiki, utworzył był dla siebie, jako drogo-

skaz swych badań, cztery zasady metodyczne, po większéj części, jak sam powiada, według wzorów, których mu dostarczyła matematyka. Nie zapominano jednak dotąd, że ta umiejętność zalety swe zawdzięcza przeważnie właściwości swojego przedmiotu, którym jest pojęcie ilości, jakotéż, że jéj prawideł i metody niepodobna stosować do rzeczy wykluczających określenia wyjątkowe. Pojęcie ilości, będąc wynikiem czynności umysłowéj odrywania (abstrakcyi), nie kładzie tamy konsekwentnemu stosowaniu prawideł myśli, gdy chodzi o zupełne wyczerpanie zawartych w niém możebności; ponieważ zaś wyraża formę poglądu, wszystkie ztąd płynące określenia mogą być unaocznione i odznaczają się w skutek tego niemożebną w innych okolicznościach widocznością. Ich rzeczywista bytność zawsze tylko warunkowo nie potrzebuje ani dopuszcza dowodzenia, okazuje się owszem dla zadania matematyki wcale obojętną. Autor „Tagmonlogii“ nie uwzględnia téj odrębności; przeciwnie utrzymuje, że jakąkolwiek treść naszéj wiedzy ująć można w wyrazy stosunków matematycznych. Przypuszczenie nader śmiałe i, jak każdy uzna, niedostatecznie upozorowane jakoby odmienném pojmowaniem istoty matematyki. P. Molicki oświadcza (str. 204), że w rozbiorze stosunku jéj do tagmonlogii „wyrzec się musi wszelkich sądów i powag historycznych“, że zastanawiając się „dziewiczo“ nad tym przedmiotem (str. 208), nie może przystąpić do zapatrywań od czasów Pitagorasa aż dotąd wyznawanych, jakoby liczba i rachunek stanowiły istotę matematyki. Są nią owszem znane jéj zasady, a celem dowiedzenie porządku w jakichś danych (str. 209). W takim razie należało jednak z większą ścisłością, aniżeli to się stało, uzasadnić nowy sposób widzenia. Wywody, które w „Tagmonlogii“ czytamy, nie tylko nie przekonają nikogo, ale nadto bynajmniéj nie tłómaczą jasno wyobrażeń autora o rzeczy. Gdybyśmy nawet przyznać chcieli, że liczby, linie i t. p. są tylko środkami do wystawienia właściwéj treści umiejętności, to przecie zapomnieć niepodobna, iż prócz matematyki osnutéj na pojęciu ilości, umysł ludzki dotąd nie stworzył innéj, którаby tamtę miała zastąpić.

P. Molicki czyni Spinozie zarzut (str. 119), że pragnąc zastosować do pojęć filozoficznych metodę geometryczną, zapatrywał się na nią powierzchownie, że poprzenosił tylko formy zewnętrzne, owe pewniki, definicye i aksyomata, bez najmniejszego uwzględnienia natury całéj czynności matematycznéj, a nie zadał sobie wpierw pytania, czy w ogóle czynność matematyczna odbywa się w podobnym kierunku jak filozoficzna, i co w przeciwnym uczynić należy razie. Bierze mu za złe, że usiłuje dowieść istnienia Boga, używając do tego aż trzech dowodów, i czyni to sposobem rzekomo geometrycznym, choć niewłaściwie zastosowanym. Otóż znajdujemy literalnie w Etyce Spinozy (I, 11) trzy dowodze-

nia o istnieniu Boga; łatwo się jednak przekonać, że drugie i trzecie są właściwie tylko parafrazą pierwszego, a pierwsze nie jest dowodzeniem w zwykłém znaczeniu, lecz raczéj tylko rozwinięciem definicyi i pewników na czele dzieła umieszczonych. Bóg ma być jedyną istnością (substancyą), która może być tylko myśl wieczna, niezależna i konieczna. Taka myśl nie potrzebuje dowodu, że istnieje, jak jéj nie potrzebuje żaden pewnik matematyczny. Nazwana „Bogiem", jako bezpośredni wynik istoty umysłowości wielce zbliżoną z tego względu okazuje się być do przedmiotu matematyki, jakotéż Spinoza w saméj rzeczy (Eth. I, 15), ilość uważa za nieodzowny przymiot *(attributum)* bóstwa. (Porówn. *De intellectus emendatione § 108)*. Myśl zastosowana do przedmiotów filozofii metody matematycznéj, chociaż przez niego bliżéj nie uzasadniona, tkwi głębiéj w jego pojmowaniu istoty rzeczy, aniżeliby się mogło zdawać. Chociaż przeto nie mamy na myśli stawać w obronie jego systematu, sądzimy jednak, że zarzut powierzchowności, uczyniony mu w tym razie przez autora „Tagmonlogii", nie jest usprawiedliwiony.

Bóg Spinozy nie jest i być nie może Bogiem autora „Tagmonlogii", gdyż nie tylko ma być Bogiem osobowym (str. 283), ale nadto w Trójcy jedynym, słowem Bogiem chrześciańskim. Istnienie takiego Boga nie płynie wprost z oderwanych założeń logiki; a przecie jego dowodzenie ma być uchylone jako niepotrzebne, niedorzeczne, szkodliwe. Mylném było dotąd, jak utrzymuje autor „Tagmonlogii" stanowisko wyrozumowanéj teologii, która nie uznając Objawienia, dowodziła istnienia Boga; mylném także stanowisko teologii dogmatycznéj co w rzeczach religii każe wyłącznie na wierze polegać; a nareszcie niewłaściwém a przynajmniéj niedostateczném, jak twierdzi, jest pośrednie stanowisko kościoła katolickiego, który opierając się na pewności Objawienia, żąda uznania, że i rozum może dowieść istnienia Boga, dać ontologicznie pojęty dowód nieśmiertelności duszy i t. d. (str. 280). Zadaniem tagmonlogii zaś ma być wykazanie „prawidłowości matematycznéj" między pojęciami stanowiącemi podstawę chrystyanizmu (str. 284).

W obec tak określonego zadania tagmonlogii staje się jednak jéj stanowisko jeszcze mniéj jasném, niż dotąd. Nie wiadomo, czyli owém źródłem, z którego czerpać ma tagmonlogia materyał do swoich rozbiorów, ma być nauka kościoła chrześciańskiego, a w szczególności katolickiego, lub którego innego? Tagmonlogia ma być wprawdzie „ostateczném rozumowém rozwinięciem najwyższéj treści duchowéj religii chrześciańskiéj"; ale czyż można być pewnym, że stosując do niéj zasady matematyki, nie dojdzie się do wyników wręcz przeciwnych jéj duchowi, i jaka będzie rękojmia trafności tego stósowania? Wszakże nie tajno, że stósowania takie prowadzić mogą do najdziwaczniejszych rezultatów, jakie

kiedykolwiek wydał spaczony mistycyzm. Prócz tego, jak złudném jest postanowienie, unikać wszelkich dowodów istnienia, gdy zważymy, że sam wyrozumowany wywód poszczególnych określeń przedmiotu jest poniekąd dowodzeniem jego istnienia, boć te określenia stanowią właściwie jego istnienie. Przypuściwszy istnienie Boga, a usunąwszy, co ściśle biorąc jest niemożebne, z jego pojęcia wszelkie szczegółowe określenia, to już dowodzenie jego osobowości, trójjedności i t. d. będzie dowodzeniem istnienia Boga z takimi a nie innymi przymiotami.

Wprawdzie następne dopiéro części tagmonlogii mają uwidocznić i usprawiedliwić założenia części przygotowawczéj. Zważając jednak, jak mało tutaj dodatniego uzyskaliśmy plonu, nikt nam nie weźmie za złe, iż z pewném niedowierzaniem co do zapowiedzianych naukowych rezultatów pracy oczekiwać będziemy dalszego jéj ciągu, szczęśliwi, jeżeli skutek nas pouczy, że nasze wątpliwości i obawy nie były uzasadnione. *Cz.*

---

**Dr. Józef Kremer: Początki Logiki** dla szkół średnich. Kraków. 1876. str. VII. i 216. 8o.

120] Śp. Kremer, który w pierwszych swych pismach wystąpił, jako gorliwy zwolennik Heglowskiego systematu, powoli zaczął odeń odstępować, zrazu częściowym poddając go zmianom, jak to widzimy w jego „Systematycznym wykładzie Filozofii“, a w końcu całkiem przerzucając się do tak zwanego realno-idealnego kierunku. Z téj zmienności nie tylko nie można mu robić zarzutu, ale przeciwnie potrzeba w niéj widziéć dowód pewnéj żywotności ducha, który nie mógł się zasklepić w raz przyjętych formułkach, pewnéj szczerości i otwartości umysłu, któremu przedewszystkiém chodziło o prawdę, na jakiéjkolwiekbądź drodze ją znajdzie. O tym nowym kierunku najlepiéj świadczy jego rozprawa, drukowana przed laty w Bibliotece Warszawskiéj, mająca za przedmiot naukę o duszy. W tym téż kierunku idealno-realnym opracowaną została przez Kremera Logika dla szkół średnich.

Przystępując do ocenienia „Początków Logiki“ Kremera, musimy postawić się na stanowisku, jakie sam autor zajmował. Pomimo bowiem, że dałoby się przeciwko niemu bardzo wiele powiedziéć, nie można mu przecież odmówić pewnych praw do bytu, chociażby z tego względu, że do dziś dnia znajduje bardzo wielu obrońców. Stosować więc do jego pracy inną miarę oceniania od téj, jakiéj on używał i uznawał—byłoby niesprawiedliwém. Nie robimy mu więc zarzutu z tego, że Logika jego, pojęta jako „umiejętność, mająca za przedmiot poznanie myślenia i praw, wedle których nam myśléć należy“, traktuje tylko o saméj dedukcyi, a pomija całkiem indukcyą, w téj przynajmniéj jéj formie, jak ją rozwinął Bakon, a udoskonalili Herschel, Mill i inni; w takim bowiem razie za-

rzut ten nie na niegoby spadał, ale na całą szkołę, do któréj należał, jeżeli godzi się nazwać szkołą kierunek, w którym każdy może samodzielnie rozwijać przyjęte zasady. Nie o to nam chodzi, dla czego autor pojmował logikę tak, jak pojmują inni, do tego samego kierunku filozoficznego należący, ale o to, dla czego w opracowaniu swéj logiki nie uczynił zadość warunkom, wymaganym przez ten sposób pojmowania? Dla czego nareszcie pisząc swą logikę dla uczącéj się młodzieży, spuścił z uwagi tę fundamentalną zasadę pedagogiki, że umysł młody wtedy dopiéro będzie mógł korzystnie objąć i przyswoić sobie jakąś naukę, gdy będą mu wskazane jéj podstawy i zastosowanie?

Logika Kremera jest czysto formalną, ma ona za przedmiot teoryę pojęć, sądów i wniosków, pojętych w oderwaniu od wszelkiéj treści poznania, jako gołe i czcze w sobie abstrakcye. Nauka takiéj logiki mogła wystarczać wtedy, kiedy wierzono, że prawda leży w duchu człowieka, że dochodzi się do niéj drogą dyalektycznego myślenia, którego najwyższym sprawdzianem jest zgodność jego z formułkami logiki; ale zgoła niewystarczającą jest dzisiaj, kiedy przyszła nareszcie filozofia do tego przekonania, że prawda powinna miéć charakter przedmiotowy, że szukać jéj należy nie w saméj tylko zgodności z sobą logicznego myślenia, ale nadto w zgodności tegoż myślenia z rzeczywistością, jak o niéj nas poucza nauka i doświadczenie. Zadaniem logiki jest nauczyć nas, jak mamy posługiwać się własném myśleniem w dochodzeniu prawdy, w poznawaniu rzeczywistości, w jaki sposób je stosować do materyału, dostarczanego nam przez doświadczenie. W niéj zatém winniśmy znaleźć dokładną naukę o wszystkich operacyach poznającego rozumu, a więc nie tylko o pojęciach, sądach i wnioskach, ale nadto o definicyi, klasyfikacyi, dowodzeniu, o metodach analitycznéj i syntetycznéj, gdyż to są właśnie operacye myślenia, któremi musi posługiwać się nawet najzaciętszy przeciwnik indukcyi. Uczeń, wyuczywszy się na pamięć Logiki Kremera, będzie wiedział o wszystkich działach i poddziałach pojęć, sądów i wniosków, może nawet pamięciowo przyswoić sobie wszystkie scholastyczne subtelności, dotyczące sylogistyki; ale to wszystko nie nauczy go jeszcze myśléć, nie da mu sposobu używania swéj myśli w celu wykrycia prawdy i jéj dowiedzenia. Cała ta nauka pozostanie dlań martwym materyałem, narzędziem, którego nie będzie wiedział jak, gdzie i kiedy użyć. Wiedza jego, nie mająca gruntu i zastosowania, pójdzie wrychle w zapomnienie— i w najlepszym razie odstręczy go raz na zawsze od scholastycznych łamigłówek, które mogą miéć swe znaczenie, ale wtedy tylko, gdy będzie wskazaną i dowiedzioną ich praktyczna użyteczność.

Z większą dla młodzieży korzyścią byłoby, gdyby autor, zamiast tak drobiazgowego traktowania o sylogistyce, co może być potrzebném i po-

żytecznėm tylko dla specyalnie zamiłowanych w tych rzeczach albo dla fachowo oddających się filozofii, poprzedził był swą logikę teoryą poznania w ogóle, a zakończył wykładem metodyki. Teorya poznania, będąc ugruntowaniem logiki, pozwoliłaby zrozumieć uczniowi znaczenie wszystkich reguł logicznych, jak również wykład metodyki wskazałby mu ich użyteczność. Z pominięciem tych dwóch części, logika staje się czémś na podobieństwo budynku bez podstawy i dachu, do drzewa bez liści i korzenia, słowem, rzeczą bez celu i użytku. Autor sam zdawał się czuć, na jakie zarzuty naraża swe dzieło — i w zakończeniu poświęca kilka ogólnikowych uwag, mających na celu oznaczyć znaczenie sylogistyki i granicę ich użyteczności. Uwagi te są słuszne, szkoda tylko, że będąc zbyt ogólnikowe, nie mogą wypełnić luk jego logiki, a co więcéj, podane nago i bez należytego rozwinięcia mogą posłużyć do tém większego zdyskredytowania logiki w oczach uczącego się młodzieńca. Co bowiem taki młodzieniec może pomyśléć o logice, która, zajmując się samemi tylko oderwanemi formami myślenia, z pominięciem wszelkich wskazówek co do dochodzenia prawdy materyalnéj, powiada mu na końcu: „My obstajemy najusilniéj przy zdaniu, że logiki zadaniem jest zajmować się nie tylko prawdą formalną, ale równie prawdą materyalną, bo usiłować winna, aby pojęcia, sądy, zatém premissy były prawdziwe i zgodne ze rzeczywistym światem.“ W przeciwnym razie „cała ta nauka a robota byłaby nieużyteczną, a nawet bałamutną, a wróciłaby nam czasy scholastyki tak misternéj, bawiącéj się w łamigłówki bezowocne“?

Kończąc tych kilka uwag o Logice Kremera, musimy przyznać, że posiada ona pewne zalety, któreby mogły z niéj zrobić pożyteczną do szkolnego użytku książkę, pomimo, że swój przedmiot traktuje w zakresie tak ciasnym i ograniczonym, gdyby nie zbyteczna drobiazgowość, z jaką się zaprząta szczegółkami i subtelnościami dla ucznia wcale niepotrzebnemi. Największą zaletę książek szkolnych stanowi ów takt pedagogiczny, który umié ważne rzeczy wysunąć na pierwszy plan, a mniéj ważne ugrupować w pewném od nich oddaleniu tak, iżby ich nie zaciemniały i dozwoliły uczniowi zoryentować się w podanym mu materyale. Autor traktuje swój przedmiot tak, jakby w elementarnéj książce zależało wiele na tém, żeby żaden szczegół nie został pominiętym, i przez to naraża uczących się na to, że ci, nie mogąc zapamiętać drobiazgów, wraz z niemi zapominają i to, o czémby pamiętać powinni.

Co się tyczy technicznéj strony dzieła, odznacza się ono wykładem jasnym i zrozumiałym — chociaż nie zdaje się nam, żeby załączone figury, mające unaoczniać stosunek pojęć, bardzo się przyczyniały do zrozumiałości przedmiotu. Największą tego dzieła zaletą jest język czysty, wolny od wszelkich dziwactw pod względem terminologii. Zarzucilibyśmy

mu tylko, że nie zawsze nacechowany jest prostotą, że przebija się w nim nierzadko retoryczna wymuszoność. *Wł. K.*

## Historya.

**Joannis Długossii seu Longinii, canonici Cracoviensis, Historiae Polonicae libri XII** ad veterrimorum librorum manuscriptorum fidem recensuit, variis lectionibus annotationibusque instruxit Ignatius Żegota Pauli cura et impensis Alexandri Przezdziecki. Tomus III. Libri IX. X. Cracoviae, ex typographia ephemeridum „Czas" MDCCCLXXVI.

121] Przed dwudziestu prawie laty podjął Aleksander hr. Przezdziecki wraz z ks. biskupem Łętowskim i Franciszkiem Wężykiem myśl zupełnego wydania dzieł Jana Długosza. Według pierwotnego programu mieli wydawcy wykazać także źródła, z których Długosz czerpał i poprawić w przypiskach błędy chronologiczne i genealogiczne w historyi jego znalezione; z niewiadomych nam powodów odstąpili jednak wydawcy od tego chwalebnego zamiaru. Poruczywszy opracowanie tekstu historyi Długoszowéj panu Żegocie Paulemu, zamiast pójść za radą Bielowskiego (Bibl. warsz. 1859, II. 857), aby zacząć pracę od rozpoznawania kodeksów nim się do wydania a nawet zbierania waryantów przystąpi, aby śledzić, czy się nie okażą ślady podwójnéj redakcyi, porównano tekst edycyi lipskiéj z kilkoma tylko rękopismami i ogłoszono zasadę, że rękopisy dzieł Długosza, oceniając je nie ze względu graficznego, ale co do wewnętrznéj ich treści, na dwa dadzą się podzielić działy (Bibl. warsz. 1860. I. 742 i nast.):

1) Kodeksy wprost z autografu lub téż z kopii bezpośrednio z autografu sporządzonych, przepisane.

2) Odpisy z kopii poprawionych i zredagowanych w środku XVIgo wieku.

Zgodzilibyśmy się na taki podział, gdyby on był wynikiem dokładnego zbadania rękopismów Długosza; ale ponieważ zrobiony został a priori, uważamy takowy za bezzasadny a zatém nieumiejętny; a że podział ten zrobiony został a priori, widzimy z wyliczenia cech, które zdaniem wydawców charakteryzują rękopisy obu działów. I tak: Pierwszy dział ma się według wydawców zaczynać od słów „*incipit liber*...; ponieważ jednak autograf temi się nie zaczyna słowy, więc trudno przypuścić, aby się odpisy w tym względzie od niego różniły, a choćby rzeczywiście w jednym z odpisów pierwszego działu taki był początek, skąd twierdzenie, aby wszystkie odpisy wprost z autografu lub z kopii bezpośrednio z autografu sporządzonych przepisane — tak się zaczynały? Według zdania wy-

dawców znajdują się w rękopismach do tego działu należących miejsca, których ani w wydaniu lipskiém, ani téż w innych rękopisach nie ma; mianowicie przytaczają wydawcy następujące wiadomości, które tylko w kodexach pierwszego działu mają się znajdować: 1) o śmierci Ottona biskupa chełmińskiego; 2) o wyborze Wernera z Orseli; 3) o śmierci Henryka Dusmera; 4) o śmierci Kazimierza Trojdenowicza.

Pierwsza wiadomość znajduje się jednak i w kodexie Rozrażewskiego (który według powyższéj klasyfikacyi do drugiego należy działu) i w edycyi lipskiéj, tylko pod mylnym rokiem 1399 zamiast 1349; o wyborze Wernera z Orselu i o śmierci Henryka Dusmera niemasz rzeczywiście wzmianki w edycyi lipskiéj, (ale ta ostatnia wiadomość we wszystkich innych znajduje się odpisach); nareszcie o Kazimierzu Trojdenowiczu wspomina tak kodex Rozrażewskiego jako téż edycya lipska, tylko pod mylnym rokiem 1354 zamiast 1355. Nie mając pod ręką dokładnego opisu rękopismów Długoszowych (gdyż opis Muczkowskiego w tak drobiazgowych rzeczach nie wystarcza) trudno nam się przekonać, czyli cechy mające charakteryzować dział drugi są prawdziwe czy nie; nie chcemy zatém wyrokować, bo nie mamy żadnych danych, a że ich nie mamy—wina wydawców. Nam się zdaje, że przed wydaniem dzieła, należało wydać jak najdokładniejszy opis manuskryptów Długoszowych. Książka taka, gdyby się dostała do rąk uczonych, musiałaby wywołać dyskusyę, nie jedna wątpliwość zostałaby wyjaśnioną, nie jedna cenna wskazówka wydawcom daną.

Tymczasem twierdzą wydawcy, że mają autograf Długosza i że ten służy im za podstawę wydania. Wierzymy im, jakkolwiek nie jesteśmy obowiązani wierzyć, gdyż nie raczyli takowego opisać. Cóż należało czynić mając autograf? Naszém zdaniem trojaki możebny był sposób wydania:

1) przedrukowanie samego tylko textu autografu;

2) porównanie go tylko z edycyą lipską;

3) podanie wszystkich odmianek znajdujących się w znanych nam rękopisach Długoszowych.

Trzeci ten sposób byłby naszém zdaniem najpożądańszym, ale nie koniecznym. Pożądanym byłby dla tego, że doprowadziłby do dokładnego poznania kodexów Długoszowych. Po całéj Europie rozrzucone są odpisy dzieła naszego wielkiego historyka w różnych czasach i z różnych robione odpisów. Zebranie ich jest niemożebném, a wyjaśnienie pochodzenia nadzwyczaj utrudnioném. Gdyby więc w wydaniu obecném uwzględnione zostały wszsytkie odmianki znajdujące się w znanych dotychczas rękopisach, wtedy w razie odkrycia jakiegoś nowego kodexu, z łatwością dałoby się oznaczyć pokrewieństwo jego z innym kodexem oraz wyśledzić

pochodzenie tegoż. Takie więc wydanie miałoby ogromną wartość dla bibliografów, ale dla historyka, dla którego tylko text oryginału jest decydującym, staje się ono w obec tego, że się ma autograf pod ręką, niekoniecznem.

Wydania zaś samego textu autografu nie można nazwać wydaniem krytycznem i tylko wtedy zrozumielibyśmy takowe, gdybyśmy żadnego przedtém nie mieli wydania. Ponieważ jednak mamy dwa wydania (jedno niezupełne), o których wiemy, że są błędne, że jest wiele miejsc opuszczonych, wiele innych dodanych, wiele faktów przekręconych i t. d., należało zdaniem naszém podać u dołu wszystkie odmianki znajdujące się w edycyach drukowanych. Dotychczas używano jedynie wydania lipskiego, cytowano to tylko wydanie. Niedokładności tam się znajdujące przeszły także do wielu dzieł. Gdyby więc u dołu wszystkie waryanty wydania lipskiego zostały zestawione, niepotrzebaby się w razie potrzeby do lipskiéj uciekać edycyi, niepotrzebaby sobie zadawać pracy, aby porównać wątpliwe miejsca w obu wydaniach.

Tymczasem jakże sobie tutaj postąpiono? W pierwszych dwóch tomach podano odmianki wydania dobromilskiego, kodexu królewskiego, Cieszkowskiego, Rozrażewskiego itd.; ale tylko niektóre odmianki powyższych odpisów i nie w ten sposób, aby ten, który korzystać ma z tego wydania, wiedział, jak to lub owo miejsce we wszystkich, a przynajmniéj w ważniejszych brzmi odpisach: tutaj bowiem tylko wyszczególniono jedno zboczenie z tego, inne z owego odpisu. Tak np. w księdze pierwszéj na str. 92 czytamy w autografie „*me quasi tecum reputa praesentem*“; w edycyi dobromilskiéj brzmi to miejsce „*vivum quasi tuum reputa parentem*“ — ale jak jest to miejsce wyrażone w innych odpisach, tego się wcale z nowego wydania nie dowiadujemy. Nieuwidoczniono np., że w najlepszym odpisie, bo prawie współczesnym, tj. w kodeksie królewskim, znajdującym się obecnie w Petersburgu a tak dokładnie przez Białeckiego opisanym (Bibl. warsz. 1860. I. 744—753), opuszczony jest ustęp umieszczony w wydaniu krakowskiém na str. 159 a zaczynający się od słów: *Beato viro Adalberto*... itd. Tych kilka słów wystarczy, aby się przekonać, że wydawcy piękną myśl przez zacnego mecenasa Przezdzieckiego podjętą— nieumiejętném kierownictwem spaczyli.

Przystąpmy jednak do ostatniego tomu. Obejmuje on dziewiątą i dziesiątą księgę, tj. od r. 1300—1386. Te same zarzuty, któreśmy powyżéj podnieśli, i tu się dadzą zastosować. Niewątpliwie mamy przed sobą text znacznie lepszy, język poprawniejszy, znajdujemy wiele nowych ustępów, których brak w odpisach i w edycyi lipskiéj; np. str. 39 o śmierci Eufemii i Jerzego księcia ruskiego; 215 o utarczce Mazowszan z Szlązakami; 242 o śmierci Henryka Dusmera; 244 o śmierci Bolesława księ-

cia lignickiego i brzegskiego i t. d.; wiele téż niedokładności sprostowano: w edycyi lipskiéj np. czytamy na str. 908: „*Sub tempore deinde Quadragesimae, Commendator de Kinsberg, vocatus Svvirtil in ampliori gentium turma venit in Onkaim, ubi Lithuanus quidam...* W wydaniu zaś krakowskiém str. 19 miejsce to jest poprawione: *Sub tempore deinde Quadragesimae commendator de Kinsberg, in ampliori gentium turma venit in Onskaim, ubi Lithuanus, vocatus Swirtil...* (por. Semkowicz: Krytyczny rozbiór dziewiątéj księgi Jana Długosza „historyi polskiéj“ str. 8).

Na str. 933 ed. lip. wymienieni są między innymi Otto kasztelan, Lesik jeden ze znakomitszych baronów; w nowém zaś wydaniu (str. 49) znajdujemy zgodnie z pierwotném źródłem „*Otto Lesik inter barones praecipuus*“ (por. Semkowicz, str. 48).

Księga dziewiąta historyi Długosza zachowała się w trzydziestu prawie rękopisach; między tymi są niektóre bardzo dawne, jak np. rękopis świętokrzyski z końca 15go wieku; z 16go zaś wieku są: ręk. Sierakowskiego, Krzysztoporskiego, Oleśnickiego, Rozrażewskiego, misyonarski i Nakielskiego. Wydawca podaje na jedném miejscu odmianki z wydania lipskiego, na inném z kodeksu Rozrażewskiego, a bardzo rzadko z kodeksu świętokrzyskiego. Porównywaliśmy z największą dokładnością odmianki z kodeksu Rozrażewskiego podane przez wydawcę z edycyą lipską, i przyszliśmy do przekonania, że wszystkie one znajdują się także w edycyi lipskiéj z czego wynika, że edycya ta jest po prostu przedrukowaniem kodexu Rozrażewskiego lub też odpisu z tegoż kodexu sporządzonego; podawanie zatém waryantów raz z edycyi lipskiéj, drugi raz z kodexu Rozr. jest niedorzecznością. Byłoby to jeszcze do przebaczenia, gdyby wydawca podał był wszystkie zboczenia w wymienionym kodexie w ed. lipskiéj się znajdujące. Ale tak nie jest. Nieraz poprawki nic nieznaczące są podane (*ac* zamiast *et*, *tamen* zamiast *tandem*, *Rex Bohemiae* zam. *Bohemiae Rex* itd.) a nie uwzględniono ani ważnych opuszczeń, ani też nie zaznaczono, że niektóre ustępy są w edycyi lipskiéj i w kod. Rozr. na inném umieszczone miejscu jak w autografie, lub że w edycyi lipskiéj znajdują się niektóre miejsca, których nie masz w autografie.

Podajemy poniżéj najważniejsze odmianki, które przez wydawcę nie zostały uwzględnione, a które zdaniem naszém bardziéj zdołają podnieść wartość autografu i wykazać błędność wydania lipskiego, aniżeli te, które przez wydawcę zostały wyszczególnione.

*a)* Opuszczone są w wydaniu lipskiém następujące miejsca ważniejsze.

| *Wydanie krakowskie:* str. | | *Wydanie lipskie:* str. | |
|---|---|---|---|
| 5 | de cetero neque *videre, neque* ad illud | | de cetero neque ad illud |
| 8 | *Johannes* Romka | | Romka |
| 14 | Philippum Franciae Regem, *quo procurante capiebatur*, usque... | 904 | Philippum, Franciae regem, usque... |
| 16 | *in Hungariam* introducunt | | introducunt |
| 19 | *diebus* viginti | | viginti |
| 24 | castri *et districtus* Byecz | 912 | castri Byecz |
| 25 | Elisabeth, *Bohemiae Reginam, Johannis de Luczemborg consortem (de qua facturi sumus in subsequentibus mentionem)* in monasterium... | 913 | Elisabeth in monasterium... |
| 35 | cum baronibus *et militibus Pomeraniae* residente | 922 | cum baronibus succedente, residenteque... |
| 46 | in castrum Swyecze *ad fratrem suum Przemislaum Ducem* concessit | 930 | in castrum Szwiecie concessit |
| 48 | Qui negligentius iussa agens *et infirmum se ad ferendum laborantibus opem credens, nihil salutare aut memoria dignum agens*, retrorsum.. | 933 | Qui negligentius iuna agens. retrorsum. |
| 68 | predicti, *valvae, quae ad Sanctum Nicolaum ducit,* contiguae | 951 | predicti, contiguae |
| 69 | *in Cracovia* consistentem | — | consistentem |
| 73 | ex qua Semovithum et Troydenum *et unam filiam progenuit;* alteram | 955 | ex qua Semovithum et Troydenum; alteram |
| 80 | excellentem, *Summus Pontifex, in Poloniae regem diademate regio decerneret coronandum, subveniretque Summus* Pontifex statui | 960 | excellentem Summus Pontifex statui |
| 85 | *Epidemiae pestis anno eodem in Polonia vigebat* | | |
| 98 | Domarathus *alias Domancus* | 975 | Domarathus |
| 100 | Domarathi, Posnaniensis episcopi et Nicolai, abbatis de Mogilno *primum in scriptis in latino, deinde in vulgari Polonico per organum Nicolai, abbatis de Mogilno,* ut... | 977 | Domarathi, Posnaniensis episcopi et Nicolai, abbatis de Mogilno, ut... |
| 106 | Henrici Wratislaviensis *et Legniczensis* ducis | 981 | Henrici Wratislaviensis ducis |
| 118 | ipso Johanne *Grothonis* | 991 | ipso Johanne |
| 122 | *praestolata in veris et* in Quadragesima | 995 | expectata in Quadragesima |
| 129 | Drwancza, *per aliquot milliaria acutis sudibus, truncis, oxigonis, fascibus et lignorum compaginibus muniverant, locatoque ex altera parte fluvii Drwancza;* in quo... | 1001 | ...Drwancza, in quo... |
| 130 | talis *usi* | — | talis |
| 134 | cui nupserat, *capite damnata est et filii Kopay* in exilium | 1004 | cui nupserat, in exilium |
| 148 | medietatem *Pruthenicae* | 1017 | medietatem |
| 150 | Commendatore magno, *quasi certam in sua potestate teneret victoriam, suis mandante ne quemquam Polonum vivum servarent. Obstina-* | 1019 | Commendatore magno, qui de aliis... |

| str. | | str. | |
|---|---|---|---|
| | *tius autem utrisque pugnantibus, Commendatore magno Ottone de Bunsdorff*, qui de aliis | | |
| 159 | *facinus* ahhorrens | 1026 | abhorrens |
| 164 | *restitutio* provenire possit | 1030 | provenire possit |
| 172 | decisionem *regum* | 1037 | decisionem |
| 174 | Lithuanorum *reperti* | 1039 | Lithuanorum |
| 180 | per unum fere annum *cum demidio* | 1044 | per unum fere annum |
| 193 | Johannes, castellanus Cracoviensis, *Andreas palatinus Cracoviensis* | 1055 | Johannes castellanus Cracoviensis |
| 198 | Trebowla, *Tusztanque* castra | 1060 | Trebowla, castra |
| 211 | articulo *tenebitur* | 1090 | articulo |
| — | ...armatorum *Kasimiro Regi* et Coronae Poloniae personali auxilio esse *et nunquam eundem Kasimirum Regem et Coronam Poloniae deserere in prosperis vel adversis*. In hanc... | — | ...armatorum et Coronae Poloniae personali auxilio defuturum. In hanc... |
| 212 | *Lutherus sive* Ludolfus | 1071 | Ludolfus |
| 219 | Regis *sororis* filia | 1076 | Regis filia |
| — | Boleslaus *Swidnicensis dux* | — | Boleslaus |

*b)* W wydaniu lipskiém niektóre miejsca obszerniéj są wyrażone, aniżeli w autografie np.:

| | | | |
|---|---|---|---|
| 26 | Consors | 914 | *olim* consors |
| 31 | rebus suae promotionis | 919 | rebus *suis* suae*que* promotionis |
| 54 | attenderent et vocationem | 938 | attenderent *religionem suam*, *attenderent* et vocationem |
| 86 | substitutus de speciali... | 965 | substitutus *et a Janislao Gneznensi Archiepiscopo confirmatus et consecratus,* de speciali... |
| 111 | continuam, qui | 987 | continuam *vexationem,* qui |
| 237 | accidisse flagelli | 1090 | accidisse, *conversi,* flagellis |

*c)* Niektóre ustępy w wydaniu lipskiém na inném są umieszczone miejscu, aniżeli w autografie:

Pod r. 1316 na str. 79 wydania krakowskiego wiadomość o wysłaniu Gerwarda do Awinionu następuje po wyborze Jana XXII na papieża. Ustęp na str. 197 zaczynający się od słów „*Parum autem* aż do *propria reductus*“ złączony jest we wydaniu lipskiém z ustępem „*Leopoliensem terram — reversurus*“. W nowém wydaniu oddzielone są te dwa ustępy wzmianką o fundacyi kościoła w Włocławku.

Na str. 222 nowego wydania różni się porządek zdań z wydaniem lipskiem, w którém ostatnie zdanie „*fertur autem*“... poprzedza zdanie zaczynające się od słów “*Galicos vero*“...

*d)* Bardzo często wreszcie różnią się oba wydania w szyku zdań lub słów np. na str. 5, 6, 14, 15, 22, 30, 36, 52, 61, 192.

Nakoniec zauważyć musimy, że dokumenty znajdujące się w dziele Długosza, powinne były według tych samych zasad być wydane, według jakich postępują sobie wydawcycy kodeksów dyplomatycznych; porównanie bowiem błędnych odpisów w autografie się znajdujących z błędniejszymi jeszcze i późniejszymi odpisami, nie ma najmniejszéj wartości.

*Dr. Al. S.*

## Nauki prawne.

**Dr. Leonard Piętak** (Profesor Uniw. lwow.): **Zur Lehre von der Pupillarsubstitution.** Archiv für civilistische Praxis. Tom 58my, str. 378—461, także w osobném odbiciu.

123] Że prawnicy klasyczni substytuta pupilarnego poczytywali za dziedzica pupila a nie ojca, na to się dzisiejsi romaniści z małymi wyjątkami zgadzają, ale czy i w dawném prawie rzymskiém zapatrywanie takie same miało miejsce, o to pomiędzy nimi toczy się spór. Większość utrzymuje, iż pierwotnie substytut pupilarny poczytany był za dziedzica ojca i że sama substytucya pupilarna była z początku tylko zmodyfikowaném podstawieniem zwyczajném. Zwolennicy zdania tego sądzą, że na téj tylko podstawie można należycie wyjaśnić niektóre ustępy w źródłach. Przeciwko ich zapatrywaniu się skierowaną jest właśnie praca autora, który broniąc zdania prawników dawniejszych nie może dopuścić, iżby jedna i ta sama instytucya, rozwijająca się zawsze w jednakowym kierunku, mogła w rozmaitym czasie na odmiennych polegać podstawach, i który stara się téż wykazać, że celem wyjaśnienia owych ustępów w źródłach wcale niepotrzeba uciekać się do przytoczonéj poprzednio podstawy.

Najsilniejsze zarzuty przeciwników autor upatruje w wnioskach, wyprowadzonych z przepisów względem świadczenia legatów, nałożonych *instituto et substituto*. Odpierając zarzuty te, podnosi najprzód różnicę, jaka zachodzi pomiędzy obowiązkiem substytuowanego *vulgariter* i substytuowanego *pupilariter* do płacenia legatów, nałożonych *instituto*. Kiedy bowiem pierwszy nawet w przypadku *tacitae repetitionis* legaty te płaci *suo nomine* (l. 87 §§ 4. 5. oraz l. 1 § 13 w połączeniu z l. 78 *D. ad leg. Falc.)*, drugi płaci je zawsze *alieno nomine* (l. 87. § 4 D. h. t.), a więc tylko o tyle, o ile dziecko takowe płacić było obowiązane. Tak samo rzecz się ma i w tym przypadku, gdyby instytuowany pupil uzyskał był *bon. poss. contra tabulas*, a chociaż temu przyjęciu sprzeciwia się ustęp Scewoli w l. 103 § 2 *D. de leg.* (III), to jednak popierają je l. 5 *pr. D. de leg. praest.* (37, 5) i l. 35. *D. de vulg. et pup. subst.*

Z zasadą, przez siebie bronioną, autor bardzo dobrze godzi prawidło prawa klasycznego, według którego substytut w razie, gdyby pupil użył był *beneficii abstinendi*, nie płaci legatów, temuż nałożonych, a jeżeli dawniejsi prawnicy odmiennego byli pod tym względem zdania, to z tego wnosić nie można, iżby w substytucie upatrywali dziedzica ojca, gdyż oni mieli tylko wzgląd na prawo cywilne, w którém dziecko mimo *beneficium abstinendi* poczytane było za sukcesora ojca.

Zasadzie, przez autora przyjętéj, odpowiada także prawidło, iż, gdyby pupilowi jego współsukcesor był substytuowany, a legaty nałożone były temuż tylko jako instytuowanemu, on schedy, którą otrzymał w tym charakterze, nigdy nie potrzebował użyć do wypłaty legatów, nałożonych pupilowi (l. 11 § 7, l. 87 § 4 *D. ad l. Falc.*). Obie schedy bowiem poczytane były za odrębne. Tak samo rzecz się miała i wtedy, gdyby jedna i ta sama osoba kilku instytuowanym pupilom była substytuowaną.

Mówiąc o legatach, nałożonych *heredi substituto,* autor następnie zwraca się do zarzutów, opartych na wyrażeniu się źródeł *„pater de suo legat“,*o raz na zasadzie, że za legaty owe odpowiada tylko majątek ojca, o ile tenże bezpośrednio albo pośrednio przeszedł na substytuta. Wszystko to tłómaczy on właściwością legatu, który zawsze pociągał za sobą ubytek majątku, na jaki spadał i który w dawném prawie obciążać mógł tylko dziedzica testamentowego, chociaż niekoniecznie własnego dziedzica testatora. Bardzo zręcznie interpretuje tu autor l. 11 § 8 i l. 87 § 7 *ad l. Falc.*

W dalszym ciągu zwraca on się do odparcia zarzutów, wyprowadzonych z nierozdzielności schedy *heredis instituti* i *pupilariter substituti.* W tym celu rozbiera najprzód kwestyę względem skutków *aditionis* i *repudiationis* w ogólności. Co do *aditionis* przyznaje, że objęcie *ex institutione* dostateczne jest do nabycia schedy *ex substitutione,* chociaż zdaniem jego prawidło to nie było wypływem jakiéjś zasady, tylko wyrobiło się powoli z praktycznych względów. Tém silniéj więc sprzeciwia się zdaniu, jakoby *repudiatio* jednéj schedy niemożliwém czyniła nabycie innych z téj saméj masy spadkowéj, gdyż to wtedy tylko miało miejsce, jeżeli *delatio* względem nich już w chwili *repudiationis* była nastąpiła. Celem poparcia swego zdania, autor rozbiera najprzód pojęcie *succesionis in ius universum,* a daléj ze względu na substytucyę zwyczajną przytacza l. 76 § 1 *D. de acq. v. ommit. her.,* którą tłómaczy bardzo dobrze. Gdyby substytucya była pupilarną, a substytut przyjął schedę po ojcu, do któréj był instytuowany, to niewątpliwie *ipso iure* nabywał schedę po dziecku, chociażby i nie dożył przypadku substytucyi, ale prawidło to zdaniem autora nie jest bynajmniéj wypływem zasady, przez przeciwników bronionéj, lecz wynika z jedności testamentu, odnoszącego się do spadku ojca i pupila. Gdyby się zaś substytut, choćby *extraneus,* schedy po ojcu był zrzekł, to zawsze jeszcze *ex substitutione* objąć mógł spadek dziecka, pomimo to, iż dziecko nabyło przedtém spadek po ojcu. Na poparcie zdania tego, bronionego także przez Schlayera i Barona a sprzeciwiającego się ogólnemu przyjęciu, autor przytacza l. 8 pr. *D. de v. et p. subst.*, daléj l. 27 § 2 *D. ad Sc. Treb.*, któréj nie ogranicza do przypadku wydziedziczenia pupila, godząc z nią l. 10 § 3 *D. de v. et p.*

*subst.*, a wreszcie odpiera zarzut z l. 20 *C. de iure delib.*, skoro ta zdaniem jego ma na względzie takich tylko dziedziców, którzy już przedtém byli przyjęli spadek.

Przy końcu odparto jeszcze inne więcéj podrzędne zarzuty przeciwników.

Oto treść sumiennéj i pilnéj pracy autora, w któréj tenże z zadania swego wywiązał się bardzo dobrze, chociaż nie możemy twierdzić, iżby przeciwników całkowicie był pokonał, gdyż i jemu nie udało się usunąć wszystkich wątpliwości. I tak sam przyznaje, że niepodobna odeprzyć zarzutu, wynikającego z l. 103 § 2 *D. de leg. (III).* Daléj niezupełnie usunął sprzeczności, w jakiéj zasada jego zostaje z prawidłami, że legatem w dawném prawie obciążony mógł być tylko dziedzic testamentowy, i że legat taki w razie nałożenia go substytutowi pupilarnemu, spadać mógł tylko na *substantia patris,* przyczém i tę jeszcze uwagę podnieść musimy, że przyjęcie możliwości nakładania legatów dziedzicowi testamentowemu nie własnemu jest mimo l. 87 § 7 *ad l. Falc.* zawsze pod pewnym względem *petitio principii.* Nie zdaje nam się być także koniecznėm, iżby słowa l. 7 § 2 *D. de acq. v. ommit. her.* służyć musiały do wyjaśnienia l. 46 *D. de vulg. et p. subst.*

Również i zarzuty wyprowadzone z nierozdzielności schedy *heredis instituti et substituti,* niezupełnie zostały odparte. Sam autor przyznaje się do pewnych wątpliwości (str. 436 i 441), a jeżeli na str. 452 odwołuje się do odmiennych skutków, jakie pociąga za sobą objęcie schedy *ex institutione* przy substytucyi zwyczajnéj i pupilarnéj, to okoliczność ta właśnie przeciw niemu przemawia, gdyż skutki te przy substytucyi pupilarnéj sięgają przecież daléj, jak przy substytucyi zwyczajnéj, skoro są tam takie same, jak skutki *iuris accrescendi,* a nadto l. 28 *D. de rebus auct.* (42. 5) wyraźnie mówi: *at cum substitutus filio hereditatem adiit, postquam pupillus se paternae miscuerit hereditati, tunc hereditas et patris et filii una est.*

To téż niepodobna zaprzeczyć, że w źródłach tu i owdzie przebija się odniesienie substytucyi pupilarnéj do spadku ojcowskiego, a możebyśmy najłatwiéj usunąć mogli wszelkie trudności, gdybyśmy przy tłómaczeniu źródeł wychodzili z zasady, że pierwotnie ojciec wtedy tylko sporządzał substytucyę pupilarną, jeżeli ustanawiał dziecko swoim dziedzicem. Skoro bowiem w owych czasach dziecko przed zgaśnięciem władzy ojca majątku własnego mieć nie mogło, powołanie substytuta miało poniekąd cechę ustanowienia go następnym, a raczéj pośrednim spadkobiercą testatora. Zdanie to podjęte już było przez Donella, autor sam przychyla się do niego na str. 460, a wielkie poparcie znajduje ono w téj okoliczności, że cała instytucya podstawienia pupilarnego wprowadzoną

została w drodze prawa zwyczajowego *(pr. J. de pup. subst.* i l. 2 *pr. D. de vulg. et pup. subst.)*. Rozciągnięcie jéj do przypadku wydziedziczenia dziecka niezawodnie téż nastąpiło dopiéro w czasach późniejszych.

*Z...*

---

## Nauki lekarskie.

**Dr. A. St. Berger: Hygiena czyli nauka o zachowaniu zdrowia.** Lwów. Zawadzki. 1876. str. 78. 8vo mn.

123] W dziełku tém autor zamierzył dać bardzo krótki rys hygieny dla publiczności nielekarskiéj. Zadanie to bardzo trudne streścić tak obszerną naukę jak hygiena na kilkudziesięciu kartkach, tém bardziéj, że autor, pisząc dla nielekarzy, musi podawać nieraz z innych także nauk wiadomości ułatwiające zrozumienie rzeczy.

Po krótkim wstępie daje autor również krótki zarys budowy ciała ludzkiego, następnie mówi o różnych porach czyli okresach życia ludzkiego, a mianowicie poświęca osobne rozdziały wiekowi niemowlęcemu, dziecięcemu i młodocianemu, poczém następuje rozdział noszący napis: Stosunek moralności do hygieny; daléj rozdziały: O czynnościach organicznych w ogólności i w szczególności, Nauka o pokarmach czyli dyetetyka, Sztuka kucharska, O wpływie pokarmów na charakter narodowy, O potrzebie świeżego powietrza, O śnie, Hygiena zębów, O zdrowéj i pięknéj płci.

Z tego spisu rozdziałów widać, że autor chciał napisać króciutki podręcznik hygieny prywatnéj. Z mylnego jednak wyszedł stanowiska, sądząc, że popularyzowanie jakiejś nauki polega na tém, aby z niéj zebrać kilka ogólnych wiadomości o tym lub o owym przedmiocie i ogłosić takowe w broszurze niewielkich rozmiarów. Już jeden rzut oka na wyżéj podany spis rozdziałów wystarcza, aby się przekonać, że w broszurze téj zebrane są najogólniejsze tylko wiadomości i to krótko, że w skutek tego panuje w niéj zamęt tak, że z jéj odczytania nikt niczego nauczyć się nie może. Lepiéj jeszcze przekonywa o tém przejrzenie choćby pobieżne jednego tylko rozdziału. Każdy z nich jest tylko nagromadzeniem drobnych szczegółów z różnych nauk zaczerpniętych, które nie zawsze są nawet logicznie z sobą powiązane, nie mówiąc już o tém, że nie ma związku loicznego między jednym a drugim rozdziałem. Rozdziały pomieszczone w téj broszurze przez autora nie wyczerpują bynajmniéj przedmiotu i dla tego trudno zrozumiéć cel, w jakim ta broszurka napisaną została.

Pomijając jednak okoliczność, że z takiego przedstawienia przedmiotu nikt pożytku odnieść nie może, — to przecież przeciw ogłaszaniu takich wiadomości nicby mieć nie można, gdyż mogłyby się one przyczynić do rozpowszechnienia nie jednéj prawdy hygienicznéj, do wykorzenienia nie jednego bezpodstawnego przesądu, gdyby wiadomości te były zgodne z prawdą i z zasadami nauki, oraz gdyby przedstawione były odpowiednio. Nie zawsze jednakże ma się tak rzecz w broszurce, o któréj mowa. Owszem, zbyt często autor chcąc być bardzo zrozumiałym, pisze coś, co nie jest zgodne z nauką; zdarza się to nawet w szczegółach anatomicznych i fizyologicznych. Niepodobna przytaczać tu wszelkich pod tym względem usterek, dość będzie przytoczyć kilka: np. zdanie zamieszczone na str. 30: „włosy są to nadzwyczaj cienkie rurki, biorące swą barwę z gruczołków tłuszczowych“, lub na str. 32: „mowa ludzka jest także ruchem wywołanym przez muszkuły znajdujące się w gardle“, albo téż ustęp ze str. 28: „naczynia limfatyczne prowadzą mlecz do prawéj komórki sercowéj. Tutaj miesza się ten wyciąg pożywny przez ściąganie i rozprężanie się serca z krwią arteryalną i wchodzi w cyrkulacyą.“

Pojęcia etyologiczne ma autor w wielu razach bardzo dziwne, tak np. pisze: „jajo powinno być świeże, a nie zepsute, bo ze spożywania jaj zepsutych powstają tyfusy i inne choroby“, lub „owoców zielonych jadać nie należy, ponieważ sprawiają choroby epidemiczne np. cholerę.“ Pisze także: „Porter w wielkiéj użyty ilości sprowadza apopleksyą, a przynajmniéj choroby wątroby i upaja“, lub „Napojów wyskokowych nie jest dobrze używać wieczorem, gdyż p o r u s z a j ą mózg i robią sen niespokojnym“. „Herbata codziennie używana tworzy choroby serca“. „Dobra i mocna kawa jest doskonałym środkiem orzeźwiającym, gdyż odbiera sen“ i t. d.

Tych kilka wyjątków dosłownych z broszurki Dra Bergera daje wyobrażenie, jak dorywczą i niedokładną jest cała ta praca. Dodać wypada, że autor zdaje się być jeszcze zwolennikiem patologii humoralnéj, albowiem pisze na str. 64, że kwasy chronią od różnych chorób zapobiegając zepsuciu humorów, a na str. 74, że długie sypianie psuje humory itd.

Prawie wszędzie autor objawy chorobowe podaje za same choroby np. na str. 11 powiada, że wpływ różnych czynników na skórę, płuca i przewody pokarmowe staje się często przyczyną licznych chorób u niemowląt np. żółtaczki, puchliny i t. d. Takie wyrażanie się nie jest zupełnie zgodne z dzisiejszemi pojęciami naukowemi.

Autor wszędzie wyraża się bardzo stanowczo nawet o rzeczach, pod względem których między lekarzami niezupełna jeszcze panuje zgoda, podając pewne zapatrywania za pewniki. Stanowczość jest wprawdzie wielce pożądaną w książce popularnéj a nawet ma coś za sobą, zawsze jednak

należało autorowi być o wiele oględniejszym, nie chcąc się narazić na śmiech tych lekarzy, którym ta broszurka w ręce wpadnie.

Tyle co do strony naukowéj, o stylu właściwie mowy być nie może, gdyż prawie cała broszurka jestto nagromadzenie pojedyńczych krótkich zdań urywanych, tu i owdzie tylko autor wdaje się w uwagi nie zawsze zbyt odpowiednie, mianowicie w rozdziale o wpływie pokarmu na charakter narodowy, który właściwie mówiąc jest zupełnie zbytecznym i chyba na to zamieszczonym, aby próżność narodową nieznających rzeczy połechtać, że kuchnia polska jest najlepszą, a więc i charakter najlepszym i aby wyprowadzić taki wniosek: „Słusznie możnaby więc powieździeć, że Polak uczy się geografii żołądkiem, nie nadwerężając rozumu“.

Możnaby jeszcze wiele rzeczy powiedzieć o téj broszurce, nic jednak pochlebnego, oraz wytknąć wiele innych usterek; dla tego lepiéj ich może nie podnosić tém bardziéj, że po tém co wyżéj przytoczono każdy pojmie, że książki téj nikomu zalecać nie można i że po jéj przejrzeniu nasuwa się myśl, iż o wiele lepiéj byłoby, gdyby autor przełożył był z niemieckiego podobną jaką broszurkę a nie porywał się na pisanie broszurki oryginalnéj, bo nią nie przysłużył się piśmiennictwu krajowemu. *G.*

---

**Dr. Zygm. Rosenstein: Choroby nérek.** Przekład polski Biblioteki umiejętności lekarskich. (Wydanie Red. Gaz. lekarskiéj). Warszawa. 1875. str. II i 456.

124] Nie wchodząc w treść przełożonego dzieła, uznanéj zkąd inąd wartości, mamy się tu jedynie zastanowić nad spolszczeniem onego. Chociaż nie możemy odmówić tłómaczowi pewnéj staranności, mianowicie we względzie wierności przekładu, musimy przecież wytknąć bardzo liczne usterki tak co do wyrazownictwa, jakotéż stylu. Nie możemy się zgodzić na wprowadzanie do książki polskiéj wyrazów greckich lub łacińskich od dawna spolszczonych; stanowi to pstrokaciznę nawet oku niemiłą, a cóż dopiero uchu, gdy przychodzi odmieniać te wyrazy. Daléj znowu bardzo często się napotyka wyrazy niby polskie, ale niewłaściwie użyte: „zawartość“ zam. treść; „odstępowy“ *(interstitialis)* zam. międzymiąższowy; „zmartwienie“! ma oznaczać zgorzel *(gangraena)*, kiedy znaczy tylko *(Verdruss)*, a martwiną nazywamy *necrosis* i w. i. Często téż zdarza się czytać w téj książce ustępy nie ze wszystkiém wiernie tekst niemiecki oddające.—Najsłabszą zaś stroną przekładu jest tok bardzo często nie polski, a tém samém niezręczny i niejasny, np. str. 7: „Podczas więc, gdy uważa się za prawidło, iż tętniczki zewnętrznéj i średniéj warstwy istoty korowéj kończą się kłębkami, to istota rdzeniowa posiada naczynia zachowujące się w sposób trojaki“, zam. napisać: Gdy więc dla tętniczek

istoty korowéj tak średniéj jak obwodowéj zakończenie w kłębki jest prawidłem, naczynia istoty rdzeniowéj zachowują się w trojaki sposób. Str. 341. „Ropa ma żółtawą barwę, tam zaś, gdzie nastąpiły wylewy krwi, widziano, iż kolor drożdży przyjmowała“, zam.: Ropa bywa zółto zabarwioną, a po wylewach krwi przybiéra niekiedy barwę drożdży. Daléj „najczęstszém jest otwarcie się ropnia ku tyłowi i na zew.“ — czy nie prościéj i lepiéj po polsku powiedziéć: ropień najczęściéj zwykł się otwierać ku tyłowi i t. d.; „jakoby ciężkie gorączki wlokły za sobą epidemiczne rozszérzanie się *perinephritidis*“, zam. sprowadzały jako następstwo, nagminne szérzenie się zapalenia onércza. „Wypadek“ używa tłóm. zam. przypadek, kiedy przecież mówimy o wypadku obliczenia, doświadczenia, zastanowienia się, narady, a więc wyraz ten odpowiada łacińskiemu *resultatum*, i blizko toż samo znaczy co wynik; przypadek *casus*, *der Fall*, *un cas*, *un évènement etc.*, nie może nim być zastąpiony. Str. 343 „występowanie tego cierpienia w wieku dziecinnym nie było spostrzegane, nie mamy jednak podstawy przypuszczać, żeby wiek ten wolnym był zupełnie od niego, mając na względzie przyczyny *perinephritidis*“ zam. cierpienie to nie było spostrzegane w wieku dziecinnym; rozważając wszelako przyczyny zap. onércza, nie możemy się dopatrzéć powodu bezpieczeństwa od téj choroby w téj dobie życia.

Wystarczy, jak myślę tych kilka ustępów, aby stwierdzić to, cośmy na początku o stronach ujemnych przekładu w ogóle powiedzieli.

*A. K.*

---

## Językoznawstwo i historya literatury.

**Dr. J. M. Rabbinowicz: Grammatik der polnischen Sprache** verglichen mit der deutschen und hebräischen. Erste Lieferung. Paris. Librairie de Luxembourg. 1876. str. 240. 8vo.

125] Książka ta jest jak najzwyczajniejszą kompilacyą, chociaż zresztą kompilacyą staranną. Głównie trzymał się autor księdza Malinowskiego i Muczkowskiego, uwzględniając od czasu do czasu i innych gramatyków. W skutek tego nie znajdujemy tu prawie nic nowego. To zaś, co autor wydaje za swoje własne odkrycie, jest albo nic nie znaczącą drobnostką, albo téż nie może być wcale przyjętém.

Szczególniéj błędnemi są wywody autora w pierwszym nierównie krótszym dziale, t. j. w nauce o piśmie i dźwiękach (str. 1—42), jakkolwiek i zawarta w zeszycie pierwszym część działu 2go, o częściach mowy odmiennych *(declinirbare Redetheile)* (str. 43 — 240), pod wielu względami zupełnie dorównywa działowi Imu. Tak np. podział spółgłosek

na „pierwotne czyli ogólnie europejskie“ i na „polskie czyli słowiańskie“ (str. 13 § 5, str. 1—4 § 1) nie ma najmniejszéj podstawy ani w fizyologii ani w historyi dźwięków. Samogłosek „długich“ może dopatrzéć w języku polskim chyba tylko człowiek teoretycznie uprzedzony i na zasadzie podobnego sprzecznego z rzeczywistością przypuszczenia mówić np. o przedłużeniu ę w ą (str. 8) i t. p.

Czy wyrazy jeżeli, okolica, w ogóle, szczegóły w ogólnie polskiém wymawianiu mają istotnie akcent na trzeciéj od końca zgłosce (str. 42), pozwalamy sobie wątpić, jak również wątpiemy o tém, że pochwa, brzytwa i t. p. istniały tylko dawniéj, obecnie zaś miejsce ich zajęły pochew, brzytew i t. d. (str. 44). Błędem jest, jakoby brak wszelkiéj końcówki był cechą 1go przyp. *(nominativ'u)* (str. 47) itd. itd. Całkiem niewłaściwie polski przyp. 6ty *(instrumentalis)* nazywa pan R. „*ablativus*“, itd. itd. Wyrazu polskiego pal, (znaczącego „palenie“ *das Brennen)* (str. 114) nie znam.

Bardzo naiwnie objaśnia autor niektóre zjawiska dźwiękowe. Tutaj należy między innemi owa łamigłówka o robieniu spółgłosek miękkich przyciskowych z pieszczonych i odwrotnie (str. 33), twierdzenie, że przed samogłoską nosową spółgłoska pieszczona zamienia się na przyciskową (str. 33), objaśnienie przyczyny niejednakowego miękczenia spółgłosek zębowych i „gardłowych“ (str. 35) itd.

Niemniéj naiwne są wywody etymologiczne naszego autora, np. że wyraz przydomek powstał z przydoimek (str. 114), że kordelas, znaczy właściwie kord do lasu; „*ein Dolch fürs (!) Wald*“ (str. 117), podobnie, jak gdyby kto twierdził, iż serdelas jest skróceniem z ser do lasu i t. p, i t. d. i t. d. Wiele z tych naiwnych wywodów etymologicznych powtarza p. R. za innemi uczonemi; np. za Lelewelem, że wyrazy Bug, (rzeka) i buk pochodzą od Bóg, ponieważ niegdyś rzeki i drzewa odbierały cześć boską (str. 7), i t d.

Częstokroć cytuje nasz autor zdania innych gramatyków, sam ich wcale nie sprawdziwszy, ale tylko z drugiéj, lub nawet z trzeciéj ręki. Skutkiem tego spotykamy u niego malutkie *qui pro quo à la Lewestam*, jak np. Dobromysła Łazowskiego pomnożył p. R. przez 2 i zrobił z niego „Dobromyśl *und* Łazowski“ (str. 22).

Redakcya gramatyki p. R. dosyć jest niedbałą, a zwłaszcza jego język niemiecki nie odznacza się wcale poprawnością. Wtrącanie terminów polskich do tekstu niemieckiego, np. „*vor den pieszczonen*“, „*in pieszczone*“, „*ein pieszczoner Consonant wird in einen przyciskowen verwandelt*“ „*nach den przyciskowen*“ i t. p. (str. 33, 37, 41, 47, i t. d. i t. d.) wygląda trochę dziwnie i przypomina wyrażenia w rodzaju „*haste gewidzioł*“ ?“ i t. p.

Autor obiecuje w tytule porównywanie języka polskiego z niemieckim i hebrajskim. Teoretycznie nie miałoby to naturalnie żadnéj podstawy. Możnaby jeszcze porównywać z niemieckim, ale co do hebrajskiego, to ten, jako należący do innego zupełnie szczepu, wcale się nie nadaje do porównywania z polskim. Z praktycznych zaś względów mógłby autor uciekać się do porównywania z niemieckim i hebrajskim, chcąc zrobić ze swéj książki przewodnik dla Niemców i Żydów, pragnących się zapoznać z językiem polskim. Niestety jednakże autor nie umiał wcale wyzyskać swoich porównań dla podobnego celu. Wszystkie bowiem jego porównania,—a jest ich zresztą nadzwyczaj mało,—noszą na sobie charakter dorywczości, i po większéj części nie mając żadnéj podstawy naukowéj, z drugiéj strony nawet na jotę nie ułatwiają cudzoziemcom prędkiego zaznajomienia się z językiem polskim. Trafiają one zwykle jak kulą w płot i mijają się z prawdą; mogłyby więc być wyrzucone z wielką korzyścią dla saméj książki. Jak w tych porównaniach, tak i w całéj swojéj książce zdradza autor na każdym kroku nieznajomość zarówno umiejętnych zasad dzisiejszego językoznawstwa, jakotéż brak taktu praktyczno naukowego. O uwzględnieniu chronologii i w ogóle stopniowych zmian w języku, o przestrzeganiu ścisłości w wywodach, o trzymaniu się stałych praw głosowych i t. d. nawet mowy tu być nie może. Książka p. R. nie daje wcale należytego pojęcia teoretycznego o języku polskim, a z drugiéj strony zarzuca uczącego się wnóstwem niepotrzebnych szczegółów, służących raczéj do zagmatwania, aniżeli do rozjaśnienia rzeczy. Ze stanowiska więc teoretycznego, gramatyka p. R. wcale nie wytrzymuje krytyki; a jako książka bardzo niepraktyczna, nie może grać roli praktycznego podręcznika. Gdyby podobne utwory naukowo-literackie pozostawały w rękopiśmie, nie byłoby z tego najmniejszéj szkody ani dla nauki, ani téż dla uczącéj się ludzkości. Być jedynie nowym numerem w wykazach bibliograficznych i nie przynosić istotnie nic a nic nowego,— smutny to za zaprawdę los! Niemniéj jednak możemy zapewnić czytelników, że dzieło p. R. nie jest wcale gorszém od całéj masy wyrobów tego samego rodzaju, a nawet wiele z nich znacznie przewyższa tak starannością wykładu, jakotéż trafnością wywodów.

*B. de C.*

---

**Dr. J. Kopernicki: Spostrzeżenia nad właściwościami językowemi w mowie Górali Bieskidowych**, z dodatkiem słowniczka wyrazów góralskich. Osobne odbicie ze sprawozdań Akademii Umiej. w Krakowie. Kraków. W druk. Uniw. Jagiel. 1875. str. 39. 8vo.

126] Z właściwą sumiennym ludziom skromnością autor sam wyznaje, że mu brak należytego przygotowania lingwistycznego, niezbędnego dla

badań dyalektologicznych, i że jest w tym zakresie tylko dyletantem (str. 4—5). Chcąc jednak udzielić specyalnym badaczom spostrzeżeń, zebranych przez siebie na miejscu, postanowił opracować je systematycznie i ogłosić w niniejszéj rozprawce. Nie przesadzim, twierdząc, iż znany antropolog i etnograf wywiązał się i ze specyalnego zadania lingwistycznego nierównie lepiéj, aniżeli wielu mężów uczonych, na których czole widnieje etykieta: „lingwista“, „badacz języka“, lub t. p. Przy uporządkowaniu swoich surowych materyałów. wziął sobie p. K. za wzór pierwszą w tym rodzaju pracę, t. j. Lucyana Malinowskiego „O narzeczu opolskiém“ *(Ueber die Oppelnsche Mundart in Ober-Schlesien, Leipzig, 1873).*

Liczba udzielonych przez autora szczegółów nazbyt jest szczupłą dla tego, ażeby można było utworzyć sobie z nich jasny i dokładny obraz charakterystycznych właściwości opisywanego narzecza. Dla osiągnięcia podobnego celu należałoby zebrać daleko więcéj danych, przez trafne uogólnienie przedstawić je w odpowiedniém świetle i tym sposobem wysunąć na pierwszy plan najwybitniejsze cechy. Najwięcéj szczegółów spotykamy tu z zakresu fonologii czyli nauki o dźwiękach, gdy tymczasem rozdział o rzeczownikach, zaimkach i słowach bardzo jest ubogi.

Zasadnicze błędy rozbieranéj rozprawy sprowadzić się dają do następnych punktów:

P. K. nie rozróżnia procesów czysto fonetycznych od zamiany jednego dźwięku drugim, lub też odpowiedniości dwu dźwięków, powstałéj pod wpływem analogii i w ogóle procesów morfologiczno-psychicznych. Tutaj należą: zamienna *a* na *y* w formie częstotliwéj (str. 7), *i* oraz *y* na *o*, również w słowach częstotliwych (str. 9) *y* na *e* w 2 przyp. l. p. rzeczowników żeńskich (str. 9), nie przechodzenie *o* na *e* w 1szym przyp. l. mn. imiesłowów biernych (str. 10), nie miękczenie się *g* w m o g e m y (możemy) (str. 16) i t. d.

P. K. miesza zasadniczo różne formacye i stawia je w związku pokrewieństwa fonetycznego i etymologicznego. Takiemi np. są: zamiana *a* na *u* w 2gim przyp. l. p. rzeczowników mezkich (str. 7) *a* na *u* w słowach częstotliwych (str. 8), zmiękczenie *g* w wytardze (wytarga) (str. 16), zamiana *ł* (!) i *n* w zakończeniu imiesłowu biernego na *t* (str. 20), wyrzucanie *n* z nosowemi *ą* i *ę* w 3éj osobie czasu przeszłego (str. 20) itd.

P. K. nie rozdziela, jak potrzeba, zjawisk fonetycznych, które, lubo pozornie identyczne, zależą jednakże w różnych wypadkach od zupełnie różnych przyczyn. Np. zamiana *a* na *e* (str. 7), *o* na *e* (str. 10), *o* na *ó* (str. 10), *u* na *o* (str. 10), *é* na *i* lub *y* (str. 13) i t. d.

P. K. przyjmuje zupełnie niemożliwe procesy fonetyczne. Np. zamiana *u* na *i* w j i ź c i (str. 10), skrócenie a j a i o j a w *á* (str. 11), zamiana *ó* na *é* (str. 13), *ą* na *ę* (str. 14), *j* na *ń* (str. 17), *ch* na *ś* (str.

26) i t. d. Przypuszczanie hiatusu między *o* i *i* i objaśnianie nim przejścia *i* na *j* (str. 9) nie ma najmniejszéj podstawy.

Przyjmując w zdrobniałych głowicka, krowicka itp., w stosunku do prostych głowa, krowa itp., zamianę *a* na *i* zamiast *e* (sr. 8), p. K. zupełnie błędnie robi 1szy przyp. *(nominativus)* l. p. formą pierwotną, z któréj się tworzą wyrazy pochodne.

Niekiedy uważa autor starsze formy za młodsze i wyprowadza je z tych ostatnich, jako z dawniejszych. Tak np. *e* wjechać jest dla niego starsze, niż *a* wjàchać (str. 8), *i* (lub *y)* w 2gim przyp. l. p. rzeczowników rodz. żeń. starsze niż *e* (str. 9), przyimek *s* powstał z *z* (str. 19) itd. Również wyraz truna trudno uważać za powstały z trumna, przez „wyrzucenie“ *m* (str. 20).

Napasem, ugrząsem i t. p. są to właściwie dwa wyrazy, napas em, ugrząz em, i dla tego téż nie można tu mówić o „wyrzucaniu“ *ł* w środku wyrazów pojedyńczych (str. 20), ale tylko o zniknięciu téj spółgłoski w końcu wyrazów pierwszych (por. str. 19).

Przejście *d* w *t* w wyr. potlebia (podchlebia) (str. 19), jest niezrozumiałém, jeżeli nie wskazać na upodabniający wpływ spółgłoski głuchéj *ch,* która następnie zniknęła. Trudno zrozumiéć powód, dla którego p. K. przyjmuje w ciosne zamianę *e* na *o* jako coś szczególnego (str. 8). Możnaby się téż zapytać, na jakiéj zasadzie *ę* we wnęk (wnuk) itp. uważa autor za dawny nosowy pierwiastek samogłoski *u* (str. 10). Przyjęta przez p. K. różnica między nosowemi *ą* i *o* (str. 13—15) nie została wytłómaczoną, a bez tego łatwo zgadnąć, na czém ona polega. W przykładach, przytoczonych z Reja (str. 12), litera *a* oznacza nie *a* proste, jak chce autor, ale właśnie ścieśnione. Nie ma najmniejszéj podstawy twierdzić, że wyrez iże, został zachowany ze starosławiańskiego (str. 8).

Myli się p. K. sądząc, iż jego teorya tworzenia się rzeczowników zdrobniałych i spieszczonych jest jego wyłącznym wynalazkiem (str. 6, 21—23). Teorya ta była już dawniéj znaną. Wszelkie zaś „spójki“ i „wsuwki“ (str. 21) są dla dzisiejszéj nauki antykami, nie mającemi żadnéj podstawy w historyi i budowie języka.

Form, jak był-ek (byłem), robił-ak (robiłam) i t. p. nie można żadną miarą uważać za równoważne staropolskiemu aorystowi (str. 26).

Pomimo tych dosyć licznych usterek i niedokładności, należy się p. Kopernickiemu ze strony badaczy języka prawdziwa wdzięczność tak za jego rozprawę, jakotéż za dołączony do niéj słowniczek wyrazów góralskich.

*B. de C.*

---

**Matthiae Casimiri Sarbievii Carmina posthuma** ex codice auctoris manu scripto nunc primum in lucem edidit **Joannes Krystyniacki**. (W Jahres Bericht des k. k. zweiten Obergymnasiums in Lemberg f. d. Schul Jahr 1876. Lemberg). str. 3—28. 8vo.

127] Pracy téj zapowiedzianéj już w przeszłym roku w fejletonie Gazety lwowskiéj, dokonał p. K. obecnie z sumienną dokładnością.

Jest to wydanie dwudziestu trzech nowych niedrukowanych jeszcze pieśni Sarbiewskiego, poprzedzone krótkim wstępem o kodeksie rękopiśmiennym, znalezionym w bibliotece Ossolińskich we Lwowie, pieśni te zawierającym, a napisanym—jak świadczą poprawki i odmianki—własną Sarbiewskiego ręką. Z listów Sarbiewskiego i biskupa Łubieńskiego, których ustępy p. K. przywodzi, dowiadujemy się, że są to ostatnie utwory Sarbiewskiego napisane w Krożach, kiedy król Władysław IV z dworem w owych okolicach polował. Ułożył je przeto na cześć św. Andrzeja, uważając go za pierwszego apostoła Sarmacyi.

Same pieśni, są to wylewy pobożnego serca, odnoszą się wszystkie do krzyża, na którym św. Andrzéj był umęczony. Pierwsze są niby poetyczném przerobieniem i rozprzestrzenieniem słów, jakie święty na widok krzyża i w chwili, gdy na nim wisiał, w męczeńskiém wyrzekł cierpieniu. W 8méj cześć składa poeta męczennikowi, a w dalszych sławi krzyż jako zbawienie, spokój, ostatni cel, światło, miłość bezpieczną i ostateczną obronę. Oczywiście jak zawsze w owym wieku, tak i tu u Sarbiewskiego pełno alluzyj do starożytnego świata i jego mitologii. Przy tém wszystkiém jednak podziwiać trzeba tę obfitość myśli, ten zasób wyrażeń na temat prawie jednostajny, tę sztukę wciągnięcia najrozmaitszych stosunków życia. Wszędzie tchnie duch Bogu oddanego poety, a powiedziałbym smętny, jak gdyby ostatnie słowa kapłana leżącego na łożu śmiertelném.

Forma pieśni jest przeważnie naśladowaniem Horacyusza, bo oprócz ostatniéj w wierszu asynartetycznym (daktyle i trocheje), przedostatniéj w dystychu elegicznym i wstępnéj w daktylicznym hexametrze jest reszta napisana częścią w zwrotach sapficznych mniejszych (1—10), a częścią w alkaicznych (11—20). *L. K.*

---

**Włodzimierz Spasowicz: Nowe studyum nad Syrokomlą** (w warszawskiém Ateneum, tom I, zeszyt 1 i 3 za Styczeń i Marzec 1876 r.)

128] Pomieszczenie téj pracy w świéżo powstałym warszawskim miesięczniku, podobnie jak i jéj nagłówek oraz znane w literaturze imię autora — zdawały się jasno uprzedzać światłych czytelników o tém, że „nowe studyum“ jeśli nie będzie epokowym pomnikiem, to przynajmniéj, wnosząc do dziejowego skarbca oryginalne poglądy, rozjaśni wiele ciem-

nych stron w rozważanéj oddawna popularnéj postaci „wioskowego lirnika“, i tym sposobem byt swój dostatecznie usprawiedliwi. Takie też były, według wszelkiego prawdopodobieństwa i życzenia autora; a jeśli im w zupełności nie sprostał, winić trzeba przedewszystkiém owo zbyt może wygórowane, czy dalekie, stanowisko po za narodem, ową sztuczną dla nas wyniosłość, z któréj — z pewném tolerancyjném lekceważeniem — na pieśniarza i jego bratnią gromadkę spogląda. Założenie naczelne aż nadto widnieje już na pierwszych kartach studyum, gdzie p. W. S. oceniając godnie prace dwu swych poprzedników — Kraszewskiego i Tyszyńskiego — powiada, iż „oba te wizerunki podobne są do szkiców nieoprawionych i rzuconych na luźne kartki papieru w białéj przestrzeni bez otoczenia, to jest bez charakterystyki epoki, nie wchodzącéj w zakres założonego przez autorów zadania (str. 8)“. „Co“ zatém „zawdzięcza Kondratowicz swoim poprzednikom, swojemu wiekowi i w jaki sposób oddziałał, oddziaływa i oddziaływać będzie na swoje społeczeństwo i potomstwo“? — oto pytanie, na które odpowiedzi oczekiwać mamy prawo. Nie od rzeczy tu będzie wspomnieć, że oprócz dwu zaznaczonych przez p. S. studyów, ukazał się na parę lat przed jego pracą drukowany w ustroniu prowincyonalném odczyt p. n.: „O stanowisku Ludwika Kondratowicza w dziejach literatury polskiéj“ („Gazeta Kielecka“ r. 1874, miesiąc Maj i Czerwiec), gdzie młody literat, spółpracownik podówczas „Opiekuna Domowego“ i „Niwy“ starał się nadewszystko scharakteryzować epokę, w któréj żył poeta, i spółczesne w piśmiennictwie polskiém kierunki, skwapliwie choć może za gorąco dopytując się łączników jakie nadniemeńskiego pieśniarza z przeszłością, obecną chwilą i przyszłością wiązać mogły. Nie robimy wcale panu S. zarzutu, iż téj niepróżnéj błędów i niewydrukowanéj zresztą w całości elukubracyi nie miał sposobności odczytać. Chcemy tylko zaznaczyć, iż już na dwa lata przed okazaniem się „Nowego studyum“ były publiczne i szczere, choć może pod pewnym względem chybione, usiłowania na téj saméj drodze, po któréj pana S. dumnie dziś kroczącego widzimy. Ale czas już przystąpić do bardziéj szczegółowéj oceny téj ze stanowiska socyologiczno-estetycznego niepomiernie wydatnéj pracy.

Pierwszą wadą, jaka nas przy czytaniu „Nowego studyum“ mimo najprzyjaźniejszych uprzedzeń razi, jestto dziwny jakiś brak ładu, wcale niezgodny z chwalebną dążnością trudnego chwytania pomotanych nici duchowych, które poetę ze światem wiązały. Zaczyna swe dzieło p. S. od nie nowéj choć arcysłusznéj uwagi, że Kondratowicz jest ostatnim zdolniejszym poetą „Szkoły litewskiéj“ — téj szkoły, któréj mistrzem-arcykapłanem był Adam Mickiewicz. Daléj — nazywa Syrokomlę za innymi „grajkiem wiejskich nędzarzy“ i przywodzi charakterystyczniejsze ustępy

z „Lirnika wioskowego.“ Porównawszy następnie autora „Dęboroga“ z Szewczenką, kreśli nawiasowo i pobieżnie suchemi farbami widmo epoki, którą poeta „z wielu względów przerastał.“ Ponieważ zaś „dla psychologa nie może być przedmiotu bardziéj uderzającego i ciekawego nad szał pieśni, nad dramatyczne zaśpiewanie się na śmierć,“ przeto p. W. Spasowicz uważa za stosowne rozwodzić się dość szeroko w dalszym ciągu nad ostatniemi błyskami twórczości zagrodowego wieszcza i nad najciemniejszą życia jego stroną... Poczem — zgoła niespodzianie, mówi o pracach swych poprzedników, i daje powyżéj zaznaczoną obietnicę zbliżenia się o jeden szczebel do możliwego ideału biografa-estetyka. Taki kolisty, przygodny, że tak powiem, sposób wykładu, trwający zresztą przez cały ciąg téj przeszło czteroarkuszowéj pracy, nie przyczynia się zgoła, jak to łatwo pojąć, do utworzenia w umyśle czytelnika harmonijnego obrazu. Owszem, gdy po uważném odczytaniu rozdziału chcemy sobie zdać sprawę z mozajki wygłoszonych o poecie i o świecie uwag, zdaje się nam, że tam poeta niknie, że się obraz jego kryje przed oryginalnémi w zastósowaniu do poezyi a materyalistycznemi, rzec można, na wskróś poglądami. Poglądy te jednak stanowią całą zasługę pana Spasowicza: one to zaznaczają ów krok postępowy, usprawiedliwiający tytułowy epitet „nowego studyum,“ one to otwierają przed krytyką poetyczną, otulone mgłą dotąd, przyszłości wrota...

Żałujemy mocno, iż szczupłość miejsca nie pozwala nam szczegółowiéj się nieco nad temi kierowniczemi przekonaniami autora zastanowić. Ponieważ jednak są one nowizną, pochłaniającą w pewnym względzie całe studyum nad Kondratowiczem, przeto chwilkę refleksyi poświęcić im koniecznie musimy. Krytyk „poety serca“ (jak p. Tyszyński słusznie Syrokomlę nazywa) zalicza się, o ile wnosić z jego słów można, do pozytywistów; gdyby nas jednak pytano o zdanie, to sądząc z rozbieranego studyum, przyznalibyśmy mu raczéj miano... materyalisty i... kosmopolity. Do wszystkich utworów Syrokomli, jednę p. S. przykłada miarkę. Miarkę tę, o ile jest nią wzgląd na pożyteczność i naukową podstawę płodów fantazyi, ze wszech względów uznać jesteśmy gotowi. Trzeba tylko pamiętać, że przedmiotem naszego badania jest poezya, że zatém owa miarka i od skalpelu anatomicznego i od oficyalnych szalek Temidy o wiele czulszą, subtelniejszą być musi. Pan S., przyznać to trzeba, z cierpką ironią patrzy na bliższą i dalszą przeszłość narodu: gani marzycielstwo, gani słusznie przesąd; chwali jednak poetę, że był przyjacielem ludu, że nigdy mistykiem nie był. Prawdą jest niezaprzeczoną, że pod owę epokę przejściową, w któréj żył Syrokomla, „okoliczności zewnętrzne przeciągały nad miarę to wstecz obrócone marzycielstwo, gro-

madziły niezliczone przeszkody nastaniu nowego porządku rzeczy;“ ale to szlachetne, to zresztą nieuniknione marzycielstwo, które uśpić musiało do pewnego stopnia praktyczną twórczość narodu, było właśnie rodzicą owéj gorącéj, ziemskiéj i zarazem wniebowstępnéj poezyi, któréj jesienném kwieciem, któréj owocem w pewnym stopniu były utwory Syrokomli.

P. S. powinien był pamiętać, że nie polityczno socyalną rozprawę, lecz studyumli terackie pisze. Do téj kategoryi zasadniczych błędów Szan. krytyka należy — następujące bezpośrednio po słusznym zarzucie — niesłuszne wzmaganie jakiéjś równowagi histoficznéj od poety, od domorosłego poety. „Kondratowicz, powiada pan S., nie pojmował i niedomyślał się nawet, że obok kwestyi dynamiki społecznéj, sę jeszcze do rozstrzygnięcia daleko ważniejsze kwestye statyki, że główne wady tkwiły nie w grze żywiołów społecznych, ale w samym składzie społeczeństwa, że jezuici nie mogli nie prześladować Acerna, że lechita nie mógł niezostać przy pewnych warunkach bezładnym, panowie nie frymarczyć starostwami, szlachta nie hulać i nie miotać się pijanym słowem na wszystko...“ Bardzo to piękne; cieszymy się, że w zakresie socyologii krytyk o całą głowę przerósł wieszcza litewskiéj zagrody. Ale na zarzut taki w danym razie nigdy się nie zgodzimy: owszem jesteśmy silnie przekonani, że uświęcenie indyferentyzmu dziejowego zmrozić koniecznie musi wszystkie wieszcze natchnienia, że poeta, który nie umie kochać i nienawidzieć, pewne wspomnienia w duszy swéj pieścić a inne przeklinać, zdoła nam może wprawdzie odrysować z niejaką plastyką pewne typy i charaktery z przeszłości, ale nie zajmie nas w wyższym stopniu, nie zhołduje, nie rozpłomieni. Może on być, nawet powinien być poniekąd — zgadzam się na to — historykiem i historyozofem; przedewszystkiem jednak, pod karę śmierci moralnéj, nie wolno mu ścierać ze swego czoła świętego piętna obywatela-poety: musi więc kochać, musi nienawidzieć, a więc i osoby i czyny wyraźnie, w stosunku do swego uczucia, rozróżniać: święcić lub piętnować. Bez pewnych sympatyj i antypatyj zresztą nie pojmuję poety, nie pojmuję... żywego człowieka...

Autor „Nowego studyum“ wypowiada niekiedy poglądy o ile nowe, o tyle i z prawdą zbadaną niezgodne, wpadając od czasu do czasu w widoczną z samym sobą sprzeczność. Syrokomla np. był podług autora „deistą, b e z w y z n a n i o w y m, ale r e l i g i j n y m w duchu chrześciaństwa człowiekiem.“ Już samo połączenie b e z w y z n a n i o w o ś c i z r e l i g i j n o ś c i ą dość dziwnym mogłoby dla niejednego z czytelników zabrzmieć rozdźwiękiem, gdyby nie było prawdą niezbitą, że Syrokomla nie jest chrześcianinem p r z e z m i ł o ś ć b l i ź n i e g o — jak Wolter lub Helwecyusz, lecz katolikiem prawowiernym był przez całe życie. Autor sam

się na to zgodzi, skoro przestanie zapatrywać się na religijne cudy naszego poety ze zbyt wyłącznego i absolutnego stanowiska. Sądzę, że między wielu innemi aktami aż nadto téj prawdy dowodzi poruszony przez pana S. błędny, ale przez długi czas popularny, pogląd Syrokomli na reformacyą („Szlachta pobratawszy się z królem, już z Bogiem się brata.“) Pan S. dość usilnie pracuje nad tém, aby wykazać iż Kondratowicz, jako poeta „przejściowéj“ epoki, dzielił popędy dwu momentów dziejowych, że stojąc na tém rozdrożu, to święcił przeszłość aż do martwych gruzów, to ją lekceważył, to modlił się jak asceta, to bezbożnie dowcipkował, słowem miał to być istny „Proteusz.“ Jedno uczucie, jedno przekonanie było w nim tylko stałe i niezmienne: Syrokomla kochał lud, śpiewał dla ludu i swobody, a oświaty ludowéj całą duszą pragnął. Nie mamy przeciw temu nic do zarzucenia. Radzimy tylko zauważyć, że 1) „Proteuszem“ mniéj więcéj jest każdy poeta: być zmiennym, stawać z samym sobą w sprzeczności — to przyrodzona cecha uczucia i fantazyi; 2) Syrokomla żył rzeczywiście w epoce przejściowéj i był jednym z jéj przedstawicieli, ale nie był jedynym jéj przedstawicielem. Na to ostatnie powinien był przedewszystkiem autor „Nowego studjum“ szczególną zwrócić uwagę; boć jego zadaniem było wypełnić i ożywić owę sferę, ów świat poety, przez poprzedników jego tak niesłusznie zaniedbany.

Co się tyczy sądu o pojedynczych Kondratowicza utworach, to autor słusznie, choć nadzwyczaj pobieżnie i bez należytéj analizy, chwali „Lirnika wioskowego“, chwali „Chodykę“, Lalkę“ — mniéj słusznie „Kęs chleba“. Wiele ważniejszych, np. „Dęboroga“ zupełnie pomija. Inne znów, jak „Córę Piastów“ najniesłuszniéj gani. Utwór ten cenimy wysoko ze stanowiska artystycznego: podziwiamy uwydatnioną w nim przez siłę kontrastu dramatyczną akcyą, i wdzięczni jesteśmy cieniom poety za szczęśliwe odtworzenie jedynie możliwéj w epoce Konrada Mazowieckiego postaci dzielnéj kobiéty, nie ustępującéj lada przeszkodom pod godłem dobréj sprawy. Choć nie widać Hanny na czele wojska, miarą godności osobistéj bardzo ona przypomina nam Grażynę. Mamy prawo sądzić, że ta przynajmniéj postać może być uważaną za wyjątek od ryczałtowego pseudo-prawa, że „wszystkie kobiety w Syrokomli zarysowane są mglisto i niewyraźnie.“ A prawdę mówiąc takich wyjątków znalazłoby się więcéj, gdybyśmy się tylko w ciemniejszych stronach przedmiotu zbyt nie lubowali, gdybyśmy sumienniéj przejrzeli „Chatkę w lesie“, „Wyrok Jana Kazimierza“ i t. d.

Nie zgadzamy się również na to. aby postać „polskiego“, jak nazywa p. S. „Alcybiadesa“, Stanisława Orzechowskiego, nie kwalifikowała się na bohatera. Burzliwy charakter, głosujący za reformą w łonie katolickiéj hierarchii a walczący zajadle z protestantyzmem, ów wykwit wy-

uzdanéj buty polskiego szlachcica — toż to figura jakby umyślnie stworzona na bohatera powieściowego lub dramatycznego! Poeta zresztą nie potrzebował kopiować niewolniczo jéj dziejów: mógł to i owo pominąć, to i owo dorobić, dosnuć — jak robili Szyller, Mickiewicz, Słowacki — byle tylko powstała z tego całość żywa, organiczna i prawdopodobna. Pan S. prowadząc, jak to już wspomnieliśmy, rzecz swoją przygodnie (prawie tak, jak Słowacki swego „Beniowskiego“), nieuważał nawet za stosowne podać całego życiorysu poety, a ograniczając się na dyplomatycznych nawiasach i ogólnikach, ani faktów nowych, ani osób wypełniających sferę działalności Syrokomli nie podał. Ztąd śmiało możemy powiedziéć, iż minął się ze swojém naczelném zadaniem; i gdyby nie wyczerpujący prawie a wcale nie zły rozbiór „Margiera“, tradycyjnie przez dawniejszych krytyków przecenianego, to w tém „nowém studyum“ prócz kilku wątpliwéj wartości teoryjek nic nowego byśmy nie dostrzegli. Co się tyczy języka, to jest on, odpowiednio do treści, ciężki, zimny, cierpki. Przeciw poprawności zaś i czystości mowy grzeszą takie wyrazy i wyrażenia, jak: krytykant, ortodoksalny, renesans (wyraz zbyt często używany), „spadała jak żołądź dojrzały zakopać się w ziemię“ (str. 4) i inne. *A. G. B.*

---

**Antoni J. Szabrański: Rys historyi literatury niemieckiéj** do połowy ośmnastego wieku. Warszawa. 1876. 8vo. IV i 227.

129] Mało posiadamy dotąd w naszym języku dzieł o zagranicznych literaturach; książkę niniejszą powitaliśmy jako zapełniającą jeden z braków piśmiennictwa polskiego. Oczywiście, że już rozmiary wskazują, iż nie przechodzi granic zwykłego szkolnego kompendyum. Sam autor zresztą w przedmowie otwarcie przyznaje, iż nie siląc się na oryginalność od czasu do czasu podawał przed 30 laty w pismach peryodycznych streszczenie „zdań, jakie sami Niemcy w tym przedmiocie wypowiedzieli“ i tym sposobem chciał publiczność obznajomić z częścią literatury niemieckiéj najmniéj u nas znaną, tj. poprzedzającą rozkwit w XVIII wieku. Wiadomości te zebrane i ułożone teraz zostały w jednę całość, któréj zalet zaprzeczyć nie można. Układ jasny, podział dobry, sądy po większéj części trafne. Dzieło obejmuje głównie tylko historyę literatury poetycznéj zacząwszy od Harmonii ewangelii z wieku IX, aż do Hoffmanswaldaua i drugiéj szkoły szląskiéj, jakoteż założenia opery w Hamburgu. Osobistości wybitniejsze znajdują tu swe życiorysy, a celniejsze utwory poezyi podane są w streszczeniach krótkich, lecz bardzo zwięzłych i dostatecznych, wreszcie charakterystyczne ustępy lub krótsze poemata podał autor w tekscie i tłómaczeniu, jak się zdaje własném. W przekładach tych wi-

dać wielką wierność pod względem odtworzenia formy, jeśli już nie co do rytmu, to co do budowy strof; i wiele z nich bardzo jest udatnych, nawet uderzyło nas w jedném miejscu oddanie poetyczniejsze od samego oryginału jednego wiersza *Trostgedicht in Wiederwärtigkeiten des Krieges Opitza*, gdzie myśl:

*Des Rauches Wolken sind den Wolken gleich gestiegen,* brzmi po polsku: Dym ku chmurom niebieskim rzucał z ziemi chmury. Szkoda, że nie wszystkie przekłady z równą starannością są dokonane, niektóre rażą zbyt wolném przekręceniem myśli; np. w epigramacie Weckherlina:

*Georg schweigt unter diesem Rasen* przetłómaczono:

„Grzegórz tu milczy i już nic nie słucha", przyczém wprawdzie znalazł się rym do „ducha", lecz sens zaginął. Jeszcze gorzéj wypadło zdanie z pochwały Władysława IV przez Opitza:

*Du würdest König sein*
*Und wäre nichts um dich als dein Verdienst allein,* brzmiące w przekładzie:

I korona cię czeka, tron dla ciebie stoi,
Choćbyś nic nie miał więcéj, prócz zasługi twojéj.

Nie byłby mógł tłómacz tak się wyrazić gdybypamiętał, że wiersz ten pisanym był w 4tym czy 5tym roku panowania Władysława IVgo, bo około r. 1636. Do zupełnie niewiernych przekładów policzyć téż trzeba epigramat Gryphiusa do Balbina. Kilka razy w przekładach nawet całkiem myśli uchwycić nie można, gdyż zdaniom brak orzeczenia, jak np. w pieśni Konrada z Würzburga, lub w ostatnim wierszu przytoczonego ustępu z farsy Rosenblütha o Turku.

Jednakowoż usterki te uważalibyśmy za nader małe, gdyby były jedynemi. Tłómaczenia jakkolwiek czytelnika obchodzą, są rzeczą podrzędną w dziele naukowém o literaturze. Otóż trudno zataić, iż w części esencyonalnéj, bo historycznéj, spotyka się miejsca już nie co do formy, lecz co do treści błędne.

Do takich zaliczyć trzeba cały ustęp o wewnętrznéj organizacyi i zasadach cechu Meistersängerów. 1) Bar nie był „śpiewem mistrzowskim" lecz pojęcie to już późniejsze, powstałe około XVIgo wieku, obejmuje wszystkie strofy pieśni, jako całość, a zatém niejako budowę pieśni. 2) Tonem nie zwała się „pieśń z melodyą", lecz jedynie wzór, szablon metryczny pieśni; miarę zaś z melodyą razem nazywano: *die Weise.* 3) Miara w zasadzie nie zależała wyłącznie „od dobrze odrachowanych zgłosek" bez względu na iloczas; owszem uważano na iloczas, a dopiéro od końca 15go wieku (zatém po dwu blizko wiekach kwitnienia *Meistergesangu),* zaczęto zapominać o iloczasie i to jeszcze głównie w poezyach

popularnych nie przeznaczonych do właściwego śpiewu mistrzowskiego. 4) Merker nie był wcale „prezesem towarzystwa“, lecz tak zwano sędziów obieralnych, których bywało po kilku równocześnie. Te wszystkie sprostowania opieramy, nie idąc daléj, na dziele Kobersteina, które podobno jest dostateczną powagą.

Jeszcze bardziéj zadziwić musi, iż p. S. powtarza zastarzałe mniemanie, jakoby autorem *Simplicissima* był Samuel Greifenson, kiedy już przecie dość dawno, bo od czasu uczonych prac Echtermeyera 1838 r. Passowa 1843 r. stało się pewnikiem, iż autor zwał się Hans Jacob Christoffel von Grimmelshausen. Sprostować wypada daléj twierdzenie, że pierwsze tłómaczenie niemieckie Robinsona ukazało się r. 1721 (str. 221) albowiem już w r. 1720 było wyszło w Lipsku w kilku edycyach, lubo nie całkiem kompletnych.

Jużto pod względem dokładności, książka, o któréj mówimy, w ogóle zostawia wiele do życzenia. Zacząwszy od korrekty, w któréj każdy wyraz nie polski został przekręcony (np. tland zam. Hand str. 69', Asiatischen Banise zam. die Asiatische Banise, 209), a i polski wyraz nie jeden; systematycznego przekręcania wszystkich nazwisk (Ulfina zam. Ulfilasa, 4, Wartzburg zawsze, zam. Wartburg, Wenczysław (sic) król czeski, 17, Gottfried von Niefen zam. Neifen, 17, Dietmar von Ast zam. Eist, 17, Nachaol król Sycyli zam. Syryi, 48, w Mayence, 85, Norymberga, w Nüremberdze, Norynberski, Anusia z Tharac zam. Tharau lub Tharaw, 187, Gusnelda zam. Thusnelda, 204, Gaurini zam. Guarini, 207 i inne etc.) i błędnych dat n. p. że święty Graal Francuzi przywieźli do Paryża 1806 r., — aż do rzeczy największéj wagi: niedokładność obok niedokładności. Str. 99 powiedziano, iż *Bergreigen* były to pieśni góralskie, podczas, gdy były one pieśniami górniczemi i zwały się *Bergreien*, towarzystwo pasterzy nie nazywało się z Pegnic (str. 149), nie od miasteczka, tylko z nad rzeki Pegnic *(an der Pegnitz)*; autor, Polak, pisząc dla Polaków, powinien téż był wspomniéć, iż Opitz był historyografem i nadwornym poetą Władysława IVgo, o czém czytamy nawet w kompendyach niemieckich.

Najgorszą atoli jest niedokładność definicyi i wyrażeń połączona ze złą polszczyzną, do jakiéj dotąd nie byliśmy przyzwyczajeni w wydawnictwach warszawskich. Wynotowaliśmy sobie kilka ustępów na okaz. Str. 7: „Całe to poema (na cześć św. Hannona) jest wytryskiem gieniuszu nie bez plam i ubóstwa, pełne siły samodzielnéj i uczuć tak z serca jak i z harmonii języka“, str. 13: „Pieśni jego (Waldecka) miłosne, pełne uczucia malowanego wdziękami bez ozdób“, str. 14: „Jego (Wolframa) piosnki... w niektórych zarysach śmielsze, aniżeli wielu minezengerów“; str. 53: „Tém jedném najsurowszych krytyków poezya pomieniona zająć

jest w stanie, że nad nią w żadnéj innéj poezyi poetyczny duch romantycznego wieku nie objawia się tak charakterystycznie w całéj swéj wielkości i przy całém swém dzieciństwie“.

Jeżeli zaś idzie o przykłady języka prawdziwie galicyjskiego wystarczy przytoczyć, że „święty Graal“ był zrobiony „z jednego klejnotu“ 52, „styl numerycznie odrachowany“ 69, dopótąd“ 69, „rzetelne nazwisko“ 79, „powierzchowność wiersza“ 86, „na języku łacińskim postanowił rozpocząć poprawę języka ojczystego“ 159, „unikając przed rozruchami“ 168, „ci dbali na uczucie“ 211, „w Niemcach“, (jako kraju) 124, „pod otwartém niebem“ 137.

Jest kilka wyrazów użytych w sposób zupełnie nowy, a w których autor widocznie się lubuje, mianowicie „wynalezienie“ jako pomysł, „wystawa“ zamiast przeprowadzenie i „delikatny“... tu już nie wiemy zamiast czego. Nadużycie tych i podobnych wyrażeń wprowadza w styl niejasność nader dotkliwą, któréj parę przykładów podamy. Str. 15: „Zwyczajnie jego wystawa ma coś malowniczego“, str. 26: „wynalezienie do takowych kompozycyi więcéj należy do wieku jak do poetów“, str. 73: „wystawa romantyczna zdarzeń i charakterów etc... jest taka jak i we wszystkich rycerskich poematach tego wieku“, str. 115: „wynalezienie w Teuerdanku jest oschłe, zimne i trywialne“, str. 115: „wystawując z poetycznym zapałem ożywioną ludzkość“, str. 119: „wpada często w wystawę obrzydliwą“, str. 166: „kompozycya sucha, wynalezienie zaledwie godne wspomnienia, sama tylko wystawa ma zaletę“, str. 128: „filozofia życia (w Froschmäuselerze) nie bardzo delikatna — lecz pomysły często bardzo delikatne“. Niech kto powie co to znaczy, albo co znaczy „poezya rzeźwa“, „rym niemiecki“ (str. 145), co znaczy twierdzenie, że Hans Sachs „we wszystkich swoich płodach, nic więcéj nie pomyśli nad to co szewc pomyśléć może“ (str. 117), jak gdyby szewc wszystkiego na świecie pomyśléć nie mógł. Prosimy wreszcie o rozwiązanie takich sprzeczności jak np. w poemacie o wojnie trojańskiéj Konrada z Würzburga jest „kraj przyjemny, uderzający, malowniczy — lecz rozwlekły“, lub, że w poezyach tegoż Konrada znać w ogóle „brak smaku“ (str. 74), lecz (str. 75) „poezyę usiłował... wykształcić z wypracowaniem i z gustem takim, jakiego żaden nie posiadał dotąd poeta niemiecki“; albo wreszcie „w ogóle (u Olearyusza) czystość języka wielka... chociaż nie wszędzie“ (str. 221).

Te uwagi wypowiedziane szczerze, lecz *sine ira et studio,* oby skłoniły autora do powtórnego w całém znaczeniu „poprawnego“ wydania téj pożytecznéj pracy.

*S. Tz.*

**Dr. G. D. Teutsch. Ueber Honterus und Kronstadt zu seiner Zeit.** (Abdruck aus dem Archiv des Vereins für siebenbürgische Landeskunde. Band XIII, der Neuen Folge Heft I. 1876). str. 62.

] Prawie każda poważniejsza historya literatury polskiéj, bibliografia lub encyklopedya, wzmiankuje u nas o Janie Honterze z Korony, autorze dziełek: „*De grammatica libri II*“ i „*Rudimentorum cosmographicorum libri IV*“, drukowanych po wielekroć w Krakowie r. 1530 i nn., i w szkołach polskich bardzo używanych. Starowolski, nie wiedząc, że był Siedmiogrodzianinem, Niemcem z miasta Kronstadtu, zwanego dawniéj „Brassow“ a po łacinie „Corona“, dla czego się też pisał „Johannes Honterus Coronensis“, wziął siedmiogrodzkie „*Corona*“ za polskie „Koronowo“ niedaleko Bydgoszczy i zrobił nawet z Hontera Polaka. Wszyscy też dodają, że był uczniem Uniwersytetu krakowskiego, przełożonym bursy węgierskiéj w Krakowie i Profesorem wymowy i gramatyki w Uniwersytecie Jagiellońskim, a ojczyźnie swojéj, krainie siedmiogrodzkiéj, zasłużył się przedewszystkiém zaprowadzeniem w niéj sztuki sztuki drukarskiéj i reformacyi Lutra.

O tymto humaniście Janie Honterze, urodzonym r. 1498, traktuje téż powyższa praca Dra T. Jestto odczyt miany przez autora d. 23 Kw. r. 1876 w Kronsztadzie, na korzyść tamtejszéj szkoły ewangielickiéj żeńskiéj, któréj początki sięgają także czasów Hontera. Sam odczyt zajmuje w rozprawie autora tylko str. 1—27, resztę zaś, t. j. str. 28—62 zapełniają najrozmaitsze przypiski, razem w liczbie 86, zaczerpnięte z różnych źródeł drukowanych i rękopiśmiennych, dla potwierdzenia właśnie szczegółów, przez autora w odczycie podanych. Za szczególniejszą téż zasługę poczytujemy Drowi T., że w dochodzeniach swoich nie ograniczył się na same tylko źródła lokalne, lecz jak się godziło, zapukał także o wyjaśnienia do zakładów naukowych polskich, bibl. Jagiellońskiéj w Krakowie i bibl. im. Ossolińskich we Lwowie, i od przełożonych tamtejszych, Dra Karola Estreichera i Kazimierza hr. Krasickiego, jak sam z podziękowaniem zeznaje (str. 35 i nn.) otrzymał informacye wyczerpujące („*in erschöpfender Weise*“).

Podług autora, co zresztą już i przed nim niektórym pisarzom znane było, nazywał się Honter właściwie „Gras“, i był synem Jerzego Grasa, białoskórnika („coriorarii“) z Hermanstadtu czyli Korony. W r. 1515 d. 27 Kwiet. zapisał się na wydział filozoficzny uniw. wied., jako „Johannes Coriarii ex Corona“ (str. 11), a d. 1 Marca r. 1530, już jako wiedeński mistrz nauk wyzwolonych, na Uniwersytet krakowski: „*Johannes Georgii de Corona, artium magister Viennensis, dioecesis Strigoniensis*“ (str. 11 i 35). W Krakowie drukował téż swoje najpierwsze dzieła, gramatykę łacińską i geografię, i przez Niemcy i Bazyleę r. 1533 wrócił do

miasta rodzinnego (str. 14). Mniemania wielu pisarzy, że „był w Krakowie przełożonym bursy węgierskiéj i profesorem wymowy“ nie potwierdził Dr. T., gdyż ani w dochowanym w rękopisach bibl. Jagiel. „*Liber diligentiarum*“ z owego czasu, ani w „*Regestrum bursae Ungarorum*“ nie ma żadnéj wzmianki o Honterze.

Wracając zaś r. 1533 do Korony, sprowadził Honter ze sobą prasę drukarską, inne przyrządy typograficzne i drukarza Teobalda Griffiusa z Niemiec (str. 17 i 53), i zaraz r. 1535 wydał z nowo urządzonéj drukarni swoją gramatykę łacińską, a późniéj nieco także gramatykę grecką i liczne inne płody mniejsze i większe, swoje i obce. Aż do jego przyjazdu nie objawił się był jeszcze w mieście najmniejszy ruch religijny (str. 16); dopiero Honter wystąpił z pomysłami reformacyjnymi, którymi się przejął w Niemczech, i szybko umiał za soba pociągnąć drugich. Proboszcz tamtejszy, Jeremiasz Jekel, ulegając nowemu prądowi, ożenił się r. 1542, za jego przykładem poszedł zaraz Tomasz, proboszcz z Tartlan, a zaprowadzenie reformacyi religijnéj w mieście i okolicy było tym sposobem dokonane.[1] W roku téż 1544, gdy Jekel przeniósł się dobrowolnie na probostwo w Tartlan, został po nim proboszczem w Koronie sam Jan Honter, dusza całego ruchu nowego („*die Seele des neuen Lebens*“, st. 25).

W dalszym ciągu (str. 25—27) podnosi Dr. T. także zasługi Hontera około udoskonalenia szkolnictwa w Hermanstadzie, które głównie zależało na drukowaniu nowych książek szkolnych. W ogólności cały odczyt autora jest bardzo zajmujący, i żałować tylko trzeba, że styl jego kwiecisty wyrodził się miejscami w przesadną napuszystość: „*Honterus! Welch einen Schatz erhebendster Erinnerungen schliesst dieser Name doch in sich!*“ (str. 9). *Dr. W. W.*

## Bibliografia.

**Bezmaski**, Józef: Notatki do dziejów i historya ostatnich 98 lat Rzeczypospolitéj Polskiéj. Toruń, nakład autora 1876. str. VIII i 524. 8vo.

**Chłędowski**, Kazimierz: Królowa Bona, obrazy czasu i ludzi. Tom I i II. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1876. str. 207 i 210. 8vo. Rsr. 2 kop. 40.

**Codex diplomaticus Monasterii Tynecensis.** Kodex dyplomatyczny klasztoru tynieckiego. Nakładem Zakładu nar. im. Ossolińskich, wydali Dr. Wojciech Kętrzyński i Dr. Stanisław Smolka. (Index ułożył Dr. Aleksander Hirschberg) Lwów. 1875 i 76. 4to. str. XLI, XXIX, 561, LXIX i kart nlb. 3.

**Kodex dyplomatyczny Małopolski**, 1178—1386, wydał Dr. Franciszek Piekosiński (Monumenta medii aevi historica res gestas Poloniae illustrantia, T. III). Kraków, nakładem Akad. Umiej. 1875. 4to. str. LIV i 552.

**Kraszewski**, J. I. Lubonie, powieść z Xgo wieku. (Powieści historyczne II). T. I i II. Kraków, nakład spółki księgarzy Warszawskich. 1876. 8vo. str. 238 i 221.

**Kuliczkowski**, Adam: Zarys dziejów literatury polskiéj. Wydanie 2, poprawione i uzupełnione. I połowa. Lwów. K. Wild. 1876. str. 192. 8vo.

**Liske**, Ksawery: Cudzoziemcy w Polsce (Liboryusz Naker 1497. — Ulryk Werdum 1670—72. — Jan Bernouilli 1778.—Jan Eryk Biester 1791. — Jan Józef Kausch 1791). Lwów. Gubrynowicz i Schmidt. 1876. str. II i 340. 8vo.

**Pieniążek**, Czesław: Messyanizm i Towiańszczyzna. Lwów, nakł. „Tygodnia“. 1877. str. 169. 8vo.

**Tatomir**, Lucyan: Geografia Galicyi, wydanie 2gie. Lwów. K. Wildt. 1876. str. XIV i 175. 8vo. 1 złr.

**Wolski**, Kalikst: Do Ameryki i w Ameryce. Podróże, szkice obyczajowe i obrazki z życia mieszkańców Ameryki. Lwów, nakład Pillera. 1876. 8vo. str. 389.

---

# (Nadesłane).

## Odpowiedź panu Daisenbergowi.

P. Dr. Daisenberg w dziełku „Filozofia duchowego rozwoju etc.“ Kraków. 1876, występuje przeciwko méj teoryi mechaniczno-chemicznéj, wydanéj w r. b. temi słowy (na str. 35) *(że Czyrniański) przytaczając wszystkie możliwe—jak mniema—pojęcia o materyi i sile, pomija najpowszechniéj przez uczonych niemieckich, posiadających filozoficzne wykształcenie, za prawdziwe uznane, „że materya jest skutkiem siły“ ... a z tego możnaby wnosić, że o téj definicyi materyi i siły prof. Czyrniański albo nie wiedział, albo ją utaić chciał.“* Na to odpowiadam p. D., że pojęcie „materya jest skutkiem siły“ odnosi się do kwestyi powstania materyi; —ja zaś, jako chemik, ani myślałem udowadniać, zkąd materya się wzięła i wyraźnie umieściłem w mojéj broszurze „Teorya mechaniczno-chemiczna“ na str. 12 w nocie ustęp następujący: „O niedziałkach ze stanowiska ba- „dacza przyrody, to tylko powiedziéć mogliśmy, co się wysnuć dało ze sposobu ich „otrzymania, jako téż z pojęcia materyi i siły; lecz zkąd się one wzięły, w jakim sta- „nie znajdowały się przed stworzeniem świata, co było powodem ich połaczenia się „z sobą i wytworzenia świata istniejącego, o tém wiedziéć nic nie możemy, nie mając „w tymże świecie do tego wskazówek.“

Udowadniać zkąd materya się wzięła, nie jest rzeczą nauk prryrodniczych, a tém mniéj chemika, co sam p. D. na str. 111 skreślając stosunek nauk przyrodniczych do metafizyki przyznaje. Ja twierdziłem na str. 6 mojéj rozprawy i twierdzę na podstawie podanych faktów „że materya jesł sama przez się działająca, z niczém obcém „nie zespoloną, objawiająca się działaniami swemi; a więc to, co nazywamy zwykle „w naukach przyrodniczych siła, jest tylko własnością — objawem materyi“ i na to, pomimo zaprzeczeuia p. D., zgadzają się dzisiaj wszyscy badacze przyrody.

Z tych już dwóch ustępów przytoczonych z rozprawy mojéj, każdy jasno widzi, że ja, jako badacz przyrody, nie mogłem siły wziąć w znaczeniu p. D. jako bóstwo, jako stworzyciela materyi, jako niby morze, w którém się kąpią wszystkie ciała (str. 37), gdyż siła jako bóstwo, nie może być przedmiotem badań nauk przyrodniczych. Ja, jako chemik, badam naukowo materyę, która mianowicie w ciałach występuje z różnemi siłami tak chemicznemi, jakotéż fizycznemi—i udowadniam, że te siły ciał nie mają dla siebie odrębnego bytu, że one są tylko objawem czyli własnościami materyi; a więc o własnościach sił w naukach przyrodniczych nawet mowy być z natury rzeczy nie może.

P. Dr. Daisenberg zarzuca méj teoryi na str. 34, że nie jest chrześciańską, — ja nie będąc teologiem, tyle tylko powiedziéć mogę, że teorya moja jest wynikiem sumiennych badań naukowych i wiem, że nauka prawdziwa nic, jak tylko prawdę na oku miéć powinna.

Najwięcéj miejsca poświęcił p. D. na przytoczenie zarzutów uczynionych jeszcze w r. 1868 méj teoryi przez prof. Dr. Kuczyńskiego,—jednak pominął, że wszystkie te zarzuty tak prof. Dr. Kuczyńskiego, jakotéż prof. Dr. Radziszewskiego uczynione méj teoryi odparłem naukowo, o czém wspomniałem na samym początku méj rozprawy O téj replice p. D. nie mógł tedy nie wiedziéć — widocznie więc, że ją chciał zataić. Czy taki sposób traktowania rzeczy jest naukowym, niech sam p. Dr. Daisenberg oceni

**Dr. Czyrniański.**

---

Wydawca: **Wł. L. Anczyc.** — Redaktor odpowiedzialny: Prof. **W. Zakrzewski.**